Rok XI. Nr. 1.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Styczeń.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1905.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1905 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — XX. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Listy św. Wincentego
pisane do Polski.

Rok 1904 dziwnie był dla nas przejmujący. Czuliśmy i rękę Bożą nad nami i szczególną Opatrzność.

Śmierć aż sześciu konfratrów — księży — w prowincyi nowej, gdzie wszędzie u nas wołają: robotników za mało a żniwo wielkie czeka, to ciężkie dla naszych serc doświadczenie, srogi ból!

Żeby te straty ubrać w cyfry — gdyby to było możliwe, to musielibyśmy powiedzieć, że tracąc tych sześciu konfratrów, straciliśmy dwa domy w prowincyi, bo gdyby żyli, łatwoby można dwa nowe otworzyć posterunki misyjne.

Z drugiej strony, dziwna Opatrzność Boża rozrzewniła nasze strapione serca, otwierając przed naszą prowincyą nowe pole cudownej ewangelicznej pracy w Ameryce.

Lecz zaszedł wypadek pod koniec roku, wypadek dla prowincyi epokowy, wypadek tak szczęśliwy, że mimo świeżych mogił i strat doznanych, każe nam rok przeszły 1904 nazwać rokiem szczęśliwym, radosnym, opatrznościowym!

Po dwustu z okładem latach dał się nam słyszeć głos św. Wincentego, do ukochanej, wtedy i dziś nieszczęśliwej, Polski!

Bo jakżeż nazwać to szczęśliwe pozyskanie Listów św. Wincentego, pisanych własnoręcznie lub przez niego dyktowanych i podpisanych, do konfratrów wysłanych na założenie prowincyi polskiej!

Wtedy był to początek nowej prowincyi. Św. Fundator spieszy z radami, z mądrymi przestrogami swym synom. To pociesza, to zachęca, poucza, wyjaśnia, jak regułę kochać i zachować, jak nieść pomoc nędzom ludzkim!

A dziś — czyż to nie nowy początek, prowincyi niegdyś tak świetnej a nieszczęsnymi wypadkami zniszczonej? Na gruzach zawsze podobno trudniej budować.

Więc oto Święty, który tak ukochał Polskę, i dziś odzywa się do nas przez dziwne zrządzenie Boże, które nam daje w posiadanie listy Świętego wtedy do Polski pisane!

Zdaje nam się mówić: Reguła, to tak jak Ewangielia, zawsze niezmienna!

Zmieniają się czasy, wieki po sobie następują nowe, nowi ludzie i nowe prądy; lecz dzieło boże, Dzieło Misyi, zmian organicznych, jak Ewangielia, nie potrzebuje.

Zachowajcie je — zdaje się do nas mówić — a one was zachowają, waszą prowincyę i wasze dzieła!

Historya tych Listów, o ile to dziś wolno nam powiedzieć, jest następująca:

Zapewne, że Listy te były w przechowaniu archiwum warszawskiego, a przy kasacie 1864 r. musiał któryś z konfratrów, ratując ten skarb, zabrać je ze sobą.

I odtąd wędrowały one po bożym świecie. Dziwne zaiste były ich koleje, aż wreszcie dnia piątego grudnia 1904, pewna wysoka osobistość przy świadkach godnych wręczyła je X. J. Kiedrowskiemu, wizytatorowi prowincyi, z warunkiem, aby ich nigdy on i następcy, nie wywieźli po za granice Polski!

Nie mogąc więcej o tem pisać, niech nam będzie wolno tu wyrazić nasze najgłębsze i najserdeczniejsze podziękowanie Najczcigodniejszemu Ofiarodawcy, Jego przezacnemu, tak łaskawemu pośrednikowi!

Nim omówimy ten nowy nasz święty nabytek, wypada coś nieco zapoznać się z historyą Listów św. Wincentego wogóle.

Wiemy, jak czynny był św. Wincenty, ile dzieł prowadził, jaki rozrost już za jego życia był obudwóch przez Niego założonych Zgromadzeń. To też oceniano liczbę listów, zaraz po jego śmierci, na 30.000.

X. Almeras, pierwszy jego następca, rozpoczął starania zebrania tych listów, aby mieć materyał do spisania życiorysu Świętego i jego przyszłej kanonizacyi. To również było zadaniem i życzeniem wszystkich późniejszych Przełożonych generalnych. Niestety sprawa szła zbyt powolnie. Wprawdzie X. Abelly już korzystał ze zbioru pewnej części listów, pisząc życiorys Świętego, następnie X. Collet, pisząc to samo w r. 1738, już miał do dyspozycyi 7000 tych listów zebranych w archiwum misyonarskim, lecz do ich wydania nie przyszło.

Dziś mamy ich 2500, co przypisać należy rabunkowi „św. Łazarza“ 12 lipca 1799 r. podczas Wielkiej Rewolucyi.

W r. 1834, Gossin, adwokat królewski, wydał dziełko pod tytułem: „Św. Wincenty“, skreślony przez siebie, w którem umieszcza 150 listów Świętego.

W r. 1845 X. Etienne wydając zbiór cyrkularzy Generałów pisanych do SS. Miłosierdzia, dodał na końcu 120 listów św. Wincentego.

Tenże czcigodny następca Świętego, wydając „Konferencye“, dodał także i 60 listów, a w dziesięć lat później, przy drugim tomie, 692 listów św. naszego Ojca, aż dopiero w r. 1880 danem było Najprzewielebniejszemu O. A. Fiat, obecnemu Generałowi Zgromadzeń, dokonać pomnikowego dzieła, którego wykonanie leżało na sercu wszystkim Przełożonym generalnym zacząwszy od X. Almeras, a jednak z powodu przeszkód było niemożliwe, z jaką jednak szkodą i stratą, to już wiemy, bo kiedy w 1738 było listów zebranych 7000, to wydanie z r. 1880 obejmuje ich tylko 2500!

Św. Wincenty do r. 1645 pisywał zwykle sam. Przy końcu r. 1645 wziął do swego boku brata Ducourneau, który już odtąd nierozłącznym staje się jego towarzyszem i on to pod dyktandem Świętego pisuje, a św. Wincenty tylko podpisuje i bardzo często czyni własnoręczne dopiski.

Zbiór listów przez nas otrzymanych, obejmuje korespondencye Świętego od r. 1651 do r. 1660; wogóle listów 171 i jeden dokument. Jest to list Maryi Ludwiki do X. Desdames z dnia 2 października 1651 r.

Z cyfry tej wypada listów zupełnie nowych, przynajmniej wydawcy z r. 1880 nieznanych, 33 z podpisem i dopiskami Świętego.

Między nimi jest także list z własnoręcznym podpisem św. Wincentego, a adresowany do Sióstr wyjeżdżających do Polski, datowany 16 września 1659. List ten również nie znajduje się w wydaniu z r. 1880.

W tymże zbiorze posiadamy również list X. Almeras pisany dnia 7 marca 1652 r.

Tą wiązką krótkich wiadomości dzielimy się z czytelnikami *Roczników*, spodziewając się, że ten Głos Świętego naszego Ojca, ożywi naszą ufność w Jego świętą Opiekę nad prowincyą polską.

X. J. D.

Prześladowanie religijne we Francyi.

(Dokończenie.)

Ministerstwo Combes'a złożywszy na ołtarzu masoneryi wszystkie Zgromadzenia nie-autoryzowane, któreśmy wyliczyli w przeszłym artykule, przystąpiło do dalszej walki z religią i do nowych hekatomb.

Zniszczenie tamtych kongregacyj streszcza się mniej więcej w dziesięciu tysiącach instytucyj dobroczynnych lub szkół zamkniętych.

Jeżeli prześladowanie tamtych Zgromadzeń było upozorowane cieniem jakiej słuszności, że np. istniały bez wyraźnego pozwolenia rządu, że zbyt liczne itp., to walka ze Zgromadzeniami autoryzowanemi, jest już zdjęciem maski i walką wprost z religią i wiarą, której też Zgromadzenia były ozdobą i tarczą.

Rząd wniósł projekt prawa krótkiego w słowach, ale olbrzymiego w konsekwencyach.

W kraju wolności, na początku dwudziestego wieku, pojawiło się prawo barbarzyńskie, opiewające:

„Nauczanie wszelkiego rodzaju jest we Francyi zakazane Zgromadzeniom".

Deputowany Buisson, protestant, był referentem tego wniosku w Izbie.

Rozwinęła się ożywiona dyskusya w Izbie, później w Senacie, wśród której deputowani masoni, z prawdziwie szatańską złością miotali najgorsze i bezpodstawne zarzuty i oszczerstwa przeciw Zgromadzeniom i idei bożej, którą one przedstawiają.

Państwo nowoczesne — mówili*) — nie może więcej cierpieć podobnych instytucyj i nadawać im legalną formę istnienia. Trzeba zgnieść Zgromadzenia autoryzowane, bo są anachronizmem.

Członkowie tych instytucyj, przez ślub ubóstwa, czynią się obojętnymi na pomyślność materyalną kraju, gardząc rzeczami doczesnemi.

Przez ślub czystości pozbawiają się troski o rodzinę, a więc działają przeciw społeczeństwu.

Przez posłuszeństwo czynią donacyę z siebie Bogu przez człowieka, pozbawiają się więc godności swej osobistej i tracą ją, stając się własnością Zgromadzenia.

To oto niewolnictwo ciała i ducha Izba francuska chce znieść!

W oczach masoneryi zakonnica, zakonnik, to mechanizm, który pozbył się rozumu, wiary itp.; pojmuje tak, jak pojmuje jego przełożony; wierzy, jak mu każą. Nie szuka prawdy, lecz tylko przyjmuje już urobioną. Wzbudza więc litość i współczucie i niedługo wolnomyślna Republika go wyzwoli z tych pętów, wyrzucając go z klasztoru na ulicę, nie dając ani kawałka chleba.

Zakonników i zakonnice przyrównano do emigrantów, którzy z nienawiści opuścili społeczeństwo, a więc powierzanie im wychowania dzieci, jest niebezpieczeństwem narodowem, jako wrogom tegoż społeczeństwa.

Sprawozdawca w Senacie, senator Saint-Germain posunął tak daleko cynizm, że podał jako powód skasowania zakonów między innymi i ten, że kasata ta będzie dla nich dobrodziejstwem. Od czasu bowiem do czasu te prawa przychodzą wciąż na porządek dzienny i tysiące osób poświęconych Bogu żyje w trwodze i niepewności... A tak, raz uchwalone prawo kasaty, da im w miejsce tej niepewności trwożnej, pewność, wyjaśnienie ich sytuacyi! Słusznie zauważył senator de Las Casas, że jest to pewność skazanego na

---

*) Documents parlamentaires. 21 i i.

śmierć, któremu doniosą, że jego odwołanie do łaski, zostało odrzucone. On też już wie wtedy, jaka jest jego sytuacya; ma pewność, że godziny jego są policzone.

Zgromadzenia znalazły dzielnych obrońców w mniejszości, czy w Izbie, czy w Senacie. Wystąpienia ich o tyle zasługują na uznanie, że z góry byli przekonani, że ich najlepsze i najsilniejsze argumenta nie odniosą żadnego skutku i odbiją się o blok radykalny obu Izb, mający już z góry nałożony obowiązek uchwalenia drakońskich praw, przedtem już uchwalonych w Lożach masońskich.

Mimo to wystąpili — słusznie twierdząc, że uchwalenie tych praw będzie katastrofą moralną i materyalną dla Francyi. Że prawo to rzuci żałobę na kraj ojczysty i tysiące sprawi smutków i obrazi miliony sumień! Ruiny będą świadczyć o jego uchwaleniu! Wolność nauczania, mówili, jest wpływem wolności myśli i mowy, której jest wyrazem.

Ta wolność zniesiona jest tem więcej okrutna, że tyczy sumienia, religii. Znosi dalej prawo rodziców odtąd zmuszonych posyłać dzieci do szkół rządowych, jak wiadomo wrogo usposobionych religii.

Żadne jednak argumenta nie zdołały zmienić wyroku śmierci na Zgromadzenia nauczające.*)

Ledwie, że się udało przeprowadzić zmianę w projekcie rządowym co do terminu rozwiązania Zakonów.

Przedłużono go na lat dziesięć.

---

*) Przed ostatecznem głosowaniem wystąpił w Senacie senator hr. de Goulaine z następującą deklaracyą:

„W imieniu mych przyjaciół politycznych i w mojem oświadczam przed ostatecznem głosowaniem nad nieszczęsnym projektem, który Wam rząd przedłożył, że za jego uchwaleniem zginie wolność nauczania! Za chwilę projekt będzie prawem, mimo odważnej obrony naszych przyjaciół politycznych i prawdziwych republikanów, zatrwożonych widokiem rządu tyranii. Plan powzięty od dawna w podziemiach Lóż spełnia się z dokładnością, która zadziwia może tylko zaślepionych“.

Niecne prawo zostało uchwalone 167 głosami przeciw 108.

Combes się zgodził z konieczności, lecz bynajmniej się terminem tym nie krępował, jak to niedługo zobaczymy.

Zresztą wyjątki te uchwalono tylko dla Zakonów mających szkoły za granicą kraju, w koloniach, lub na Wschodzie. Tym też Zakonom zezwolono na dalsze utrzymywanie nowicyatów, lecz liczbę nowicyuszów i nowicyuszek rok rocznie ma oznaczać rząd.

Żadne jednak Zgromadzenie żeńskie czy męskie nie może przyjąć kogoś do nowicyatu, kto nie skończył dwudziestu jeden lat!

Klauzula ta zwłaszcza dla Zakonów męskich jest wprost zabójcza dla życia zakonnego, jeżeli się jeszcze zważy na obowiązek służby wojskowej i to dwuletniej, jak tego chce nowe prawo za kilka miesięcy mające wejść w życie. Wszystko to też jest obliczone, aby uniemożliwić dalszą egzystencyę Zgromadzeń.

Nowicyusz który skończy obecne szkoły liberalno-bezbożne, gdyż inne niemal że nie będą egzystować, który dalej przejdzie przez dwa lata przez kasarnię wojskową trzeciej Republiki naszych czasów, to z pewnością nie materyał na kapłana czy misyonarza!

Chyba łaska boża wyjątkowa!

Prawo więc nowe obejmuje tylko Zgromadzenia autoryzowane, tj. istniejące niejedne od wieków, do których wstępowali nowicyusze pewni, że poświęcając się idei bożej, nie będą nigdy narażeni na utratę powołania i na możliwość, być zmuszonymi nieraz na samą starość opuścić mury ukochanego klasztoru.

Cóż za przykry zawód, co za krzywda ma ich spotkać i to w imię wolności i liberalizmu, który ich niedługo wypędzi na ulicę, nie troszcząc się o ich najżywotniejsze potrzeby do życia!

Zgromadzenia te są *męskie* i *żeńskie*.

Z *męskich* tylko jedno: *Bracia szkół chrześciańskich*.

Zgromadzeń żeńskich czysto *naukowych* obejmuje nowe drakońskie prawo *374*.

Zgromadzeń mięszanych tj. *nauczających i dobroczynnych 323.*

Wyliczmy je:

Zgromadzenia męskie:

Bracia szkół chrześciańskich nauczający i nienauczający

we Francyi	nauczających . .	6.876
„ „	nienauczających .	2.277
	Razem	9.153

Majątek ich rząd oblicza na przeszło sto milionów frank. Posiadali oni we Francyi 1.452 szkół i 203.760 uczni. Poza Francyą 551 zakładów wychowawczych i 118.371 uczniów.

Zgromadzenia żeńskie nauczające (autoryzowane jako wyłącznie nauczające):

Siostry Adoracyi wiecznej Serca Pana Jezusa.
Siostry Adoracyi wiecznej Najśw. Sakramentu.
Siostry Zwiastowania Najśw. Panny.
Damy Wniebowzięcia Najśw. Panny.
Augustyanki, kanoniczki regularne św. Aug.
Augustyanki życia wewnętrznego Maryi.
Benedyktynki.
Benedyktynki wiecznej Adoracyi Najśw. Sakramentu.
Benedyktynki wiecznej Adoracyi Najśw. Serca P. Jezusa.
Benedyktynki Najśw. Panny Bolesnej.
Benedyktynki Opieki Najśw. Panny.
Benedyktynki od Niep. Najśw. Panny.
Benedyktynki św. Pragnienia.
Benedyktynki od św. Jakóba.
Benedyktynki od Najśw. Sakramentu.
Benedyktynki od Najśw. Sakr. zwane *od św. Wawrzyńca.*
Bernardynki.
Karmelitanki.
Siostry Miłosierdzia od św. Ludwika.
Klaryski.
Damy angielskie od Niep. Poczęcia.

Córki św. Krzyża.
Siostry Boskiej Opatrzności.
Siostry Nauki chrześciańskiej.
Dominikanki.
Siostry wychowania chrześcijańskiego.
Siostry Dziecięctwa P. Jezusa i N. Panny zwane *Miłosierdzia Dobrego Pasterza.*
Córki Dzieciątka Jezus.
Siostry Dzieciątka Jezus.
Siostry Dzieciątka Jezus zwane *Siostry Nauki.*
Siostry Wierne, Towarzyszki Jezusa.
Franciszkanki Najśw. Panny Anielskiej.
Franciszkanki św. Elżbiety.
Siostry Niepokalanego Poczęcia.
Córki Maryi Niepokalanej.
Marystki.
Siostry od Narodzenia Pana Jezusa.
Siostry od Narodzenia Najśw. Panny.
Damy z Nazaretu.
Siostry Najśw. Panny.
Siostry Najśw. Panny Anielskiej.
Siostry Najśw. Panny z Clermont.
Siostry Najśw. Panny Współczującej.
Siostry Najśw. Panny z Fourvières.
Siostry Najśw. Panny z Loretu zwane *św. Józefa od Najśw. Familii.*
Siostry Najśw. Panny Ofiarowania.
Siostry Najśw. Panny od Opatrzności.
Siostry Najśw. Panny Syońskiej.
Siostry Najśw. Panny zwane „*Zdrowaś Maryo*".
Małe Służebne Najśw. Panny Niepokalanej.
Siostry Ofiarowania Najśw. Panny.
Siostry od Opatrzności.
Siostry od Opatrzności Dobrego Pasterza.
Córki Rekolekcyi od Najśw. Serca P. Jezusa.
Damy Rekolekcyi zwane *Damy Najśw. Panny.*

Siostry Zebrania w Sercu P. Jezusa.
Damy Najśw. Serca P. Jezusa.
Siostry Najśw. Serca.
Siostry Serca Jezusa i Maryi.
Siostry Serca Jezusa i Maryi zwane *Ducha św.*
Siostry św. Agnieszki.
Damy św. Klotyldy.
Siostry św. Dominika.
Damy św. Elżbiety.
Siostry św. Rodziny.
Siostry św. Rodziny z Nazaretu.
Siostry św. Franciszka Regis.
Siostry św. Józefa z Nazaretu.
Siostry św. Józefa od Opatrzności.
Siostry św. Józefa zwane *Jedność.*
Siostry Maryi z Fontesvault.
Siostry św. Marty.

Zgromadzenia te kierowały 574 zakładami czysto naukowymi.

Zgromadzenia żeńskie autoryzowane jako *dobroczynne* i *nauczające.*

Siostry Miłosierdzia św. Wincenteyo a Paulo.
Siostry Miłosierdzia z Besançon.
Siostry św. Karola.
Siostry św. Józefa.
Siostry Dzieciątka Jezus.
Siostry Nauki dobroczynnej od św. Im. Jezus zwane *Siostry św. Maura.*
Siostry Najśw. Panny.
Siostry Najśw. Panny Dobrej Pomocy.
Siostry św. Opatrzności.
Siostry Miłosierdzia zwane *Siostry od Najśw. Sakram.*
Franciszkanki zwykłej Obserwy.
Siostry św. Józefa od Dobrego Pasterza.
Siostry św. Marty.
Siostry św. Tomasza z Wilanowa.

Siostry od Serca P. Jezusa.
Siostry Serca Jezusa i Maryi.
Siostry od Najśw. Sakramentu.
Siostry Dziecięctwa Jezusa i Maryi zwane *święte Chrześcijanki.*
Siostry św. Anioła Stróża.
Siostry Najśw. Familii.
Siostry św. Imienia Józefa.
Siostry Imienia Jezus.
Siostry Grobu św.
Damy św. Zjednoczenia Najśw. Serc.
Trapistki.
Siostry Łączności chrześciańskiej.
Urszulanki.
Urszulanki Najśw. Serca.
Wizytki.
Damy Zelatorki Najśw. Sakramentu.
Siostry Ślepe od św. Pawła.
Siostry Błogosławionej Maryi zwane *Wieczne Adoratorki Najśw. Sakramentu.*
Siostry św. Marcina.
Siostry Objawienia św. Józefa.
Augustyanki miłosierne.
Siostry Dobrego Zbawcy.
Siostry Miłosierdzia Serca P. Jezusa.
Siostry Miłosierdzia Serca P. Jezusa i Serca Maryi.
Siostry Najśw. Panny Miłosiernej.
Siostry Najśw Panny Miłosiernej od Ucieczki zwane *Siostry św. Michała.*
Siostry Sierot Najśw. Panny.
Służebnice Jezusa.
Siostry św. Anny.
Córki Mądrości.
Córki Dobrego Pasterza.
Córki Ducha Najśw.
Trynitarki.

Córki Zbawiciela i Maryi.
Damy św. Tomasza z Wilanowy (Villeneuve).
Siostry św. Teresy zwane *Służebnice Chrystusa.*
Służebnice Maryi.
Siostry Szkoły Chrześciańskiej i Miłosierdzia.
Trzeci Zakon Córek Maryi.
Franciszkanki.
Adoratorki sprawiedliwości Bożej.
Córki Najśw. Panny.
Córki Słowa Wcielonego.
Córki św. Dominika.
Córki św. Franciszka.
Trzeci Zakon św. Dominika.
Trzeci Zakon Pokutny św. Franciszka.
Córki Jezusa.
Córki Najśw. Panny współczującej.
Trzeci Zakon regularny Najśw. Panny z Góry Karmelu.
Córki Wiary.
Siostry Serca Dzieciątka Jezus.
Siostry pod Opieką św. Wincentego à Paulo.
Córki Matki Boga.
Siostry Jedności chrześciańskiej.
Córki Maryi Józefa.
Córki Niepokalanego Poczęcia.

Zgromadzenia te miały pod swym kierunkiem 2.243 szkół. Dobra Zgromadzeń dawniej zniesionych, a więc nieautoryzowanych, wynosiły 440 milionów.

Obecne prawo oddało znowu rządowi dóbr za 586 milionów.

Mianowano likwidatorów, rzesze urzędników. Oczekujmy, jaką sumę ostateczną wykaże nam statystyka, jako czysty zysk, przechodzący do kas rządowych.

Tymczasem rząd zaraz musi wydać, aby zastąpić szkoły klasztorne, 60 milionów na budowę szkół dla chłopców, 50 milionów na szkoły żeńskie, a rocznie budżet oświaty zwiększy się o 34 miliony na pensye nauczycieli i nauczycielek.

Jest jeszcze dużo szkół t. zw. „professionelles“, szkoły zawodowe, wzorowo prowadzone przez Zgromadzenia, a w nich 21.000 wychowanków. Rząd je powoli zamyka, nie budując dla nich szkół rządowych dla braku pieniędzy. Są to dzieci najuboższe, nie troszczy się o nie rząd demokratyczny. Wyrzuca je z zakładów, gdzie otrzymywały wychowanie i praktyczne rzemiosło, sposób do życia i rzuca je w objęcia nędzy i złego.

Jeżeli zliczymy ogółem wszystkie straty, wyrządzone prześladowaniem, to otrzymamy cyfrę 40.000 zakonników i zakonnic rozproszonych i wydziedziczonych, 14.000 szkół zamkniętych, milion 600.000 dzieci pozbawionych nauki w katolickim duchu.

Z dniem uchwalenia prawa, zabraniającego nauczania wszelkiego rodzaju Zgromadzeniom, a więc nauczania nietylko naukowego, lecz szycia, rzemiosła itp., Zgromadzenia te przestały istnieć, jeżeli były wyłącznie nauczające.

Dobra ich, domy przechodzą na rzecz skarbu.

Wyjątki nieliczne stanowią Zgromadzenia mające szkoły za granicą, lecz z jakiem utrudnieniem i ograniczeniem będą musiały się liczyć, to już wiemy.

Zgromadzenia mięszane przestają również istnieć, jako *nauczające*. Jeżeli chcą istnieć jako *dobroczynne,* muszą się starać o nową autoryzacyę.

Z klauzuli przedłużającej okres zamykania na lat dziesięć, prezydent ministrów skorzystał w ten sposób, że w kilku dniach pierwszych po uchwaleniu prawa i podpisaniu go przez prezydenta Rzeczypospolitej p. Loubet, zaraz zamknął blisko 3.000 szkół.

Prawo to uchwalone zostało 5 lipca, 7 już podpisane przez prezydenta Rzeczypospolitej, a już 10 lipca „Journal Officier“ przyniósł pierwszą listę Zgromadzeń skasowanych i odtąd dzieło zniszczenia postępuje ciągle naprzód.

Zgromadzenie XX. Misyonarzy św. Wincentego à Paulo nie było w rzędzie tych Zgromadzeń, już bowiem p. Combes przedtem pomyślał o synach duchownych Świętego, który był i jest ozdobą i zaszczytem Francyi!

Combes nie uznał za dobre, aby Misyonarze mieli wychowywać kler dyecezyalny, lub dawać misye we Francyi. Dlatego to już w 1902/3 polecił Biskupom, aby nas zastąpili w swych seminaryach księżmi świeckimi. Straciliśmy tedy odrazu Domów dwadzieścia dwa. Algerya otrzymała wyjątkowe przedłużenie na rok, tak, że dopiero tego roku straciliśmy i tam seminarya, prócz Oran'u, gdzie Biskup zdołał jeszcze uzyskać jeden rok prolongaty. Nad zbawieniem ludzi we Francyi według p. Combes'a mogą tylko prawowicie, zgodnie z konkordatem, pracować księża parafialni, stąd pozamykał nam zaraz wszystkie Domy misyjne we Francyi. Straciliśmy Domów czternaście. Zostało jeszcze Domów siedm, lecz egzystencya ich jak i Domu Macierzystego zależy od Opatrzności Bożej, cudownej. W nią też ufamy.

Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia, Zgromadzenie niejako narodowe, otoczone aureolą uznania największych wrogów religii, nie ostało się jednak w tej walce na śmierć i życie, jaką masonerya wydała Kościołowi.

Owszem, masonerya posługująca się tak zwaną filantropią, miłosierdziem czysto ludzkiem, uwzięła się zniszczyć Zgromadzenie działające jako ręka Opatrzności Bożej.

Stąd widzimy, że minister marynarki Pelletan, pierwszy, a za nim André, minister wojny, wydalają Siostry Miłosierdzia ze szpitali wojskowych. Minister oświaty Chaumié wydala je ze szkół. Szpitale już dawno są zlaicyzowane. Pozostaje więc w rękach Sióstr kilka szpitali prywatnych, dużo jeszcze Domów wychowawczych, gdzie ubogie panienki lub sieroty uczą się szycia itp., lecz egzystencya tych domów wobec ministerstwa tak nie krępującego się żadną ustawą, ani jej duchem, jest silnie zagrożona.

W ciężkiej tej chwili doświadczeń, otuchą jest, że na czele Rodziny św. Wincentego stoi mąż tak pełny ducha bożego, jak X. Antoni Fiat, a Zgromadzeniem Sióstr kieruje z takąż roztropnością Matka Kieffer.

Prześladowanie obecne jest pod wielu względami cięższe i sroższe od prześladowania w pierwszej rewolucyi, lecz, jest co do nas ta zasadnicza różnica, że dziś jest to prześladowanie tylko gałęzi francuskiej Zgromadzeń naszych i nie grozi ruiną całym Zgromadzeniom. Zagraniczne bowiem dziś prowincye, ściśle złączone ze swymi Przełożonymi, odnowione w duchu św. Wincentego, rozgałęzione po całym świecie w dziełach swego świętego powołania, gotowe są przyjąć wypędzonych swych współbraci i siostry do swych prowincyj i prowadzić dalej dzieło świętego swego Ojca.

Jakież są skutki, a zwłaszcza jakie będą, tych praw wyjątkowych przeciw Zgromadzeniom?

Można je podzielić na materyalne i moralne, a jedne i drugie streszczają się w stratach ciężkich.

Materyalne straty są ogromne.

Były to Zgromadzenia przedewszystkiem wychowawcze, które ściągały młodzież, zwłaszcza żeńską, z całego świata.

Jako do kraju najwięcej cywilizowanego zdążał dotąd cały świat, jako do świątyni nauki, sztuki itp.

Jakież fortuny tu się przenosiły!

Za dziećmi przyjeżdżali rodzice. Arystokracya rodowa czy pieniężna tu się przenosiła, aby dać dzieciom swym najlepsze wychowanie. Francuski język, moda i gust rozszerzał się po świecie, ściągając w zamian znaczny haracz pieniężny.

Zakony i Zgromadzenia, podtrzymujące po wszystkich częściach świata misye katolickie, naturalną też było dla nich rzeczą utrzymywać z krajem macierzyńskim stosunki handlowe. Handel i przemysł francuski rozszerzał się też wszędzie i bogacił Francyę.

Tak Bóg nagradzał już tu, poświęcenie synów i córek tego narodu.

Wszystko to już niemal należy do przeszłości. Szał walki z religią i dziwne zaślepienie nie daje tego jeszcze wszystkim widzieć, zresztą dzienniki rządowe starają się tę

smutną prawdę zakryć, lecz gdy przyjdzie chwila przebudzenia, będzie tem przykrzejsza.

Korzyści moralne były jeszcze znaczniejsze.

Wszędzie Francya, jej język i jej wpływy były znane. Francya była potęgą pierwszorzędną, nie tylko jako państwo polityczne, ale zaczerpnęła coś z powszechności katolicyzmu.

Jak powaga moralna Kościoła powszechnego jest tak ogromną, że liczyć się z nią muszą najwięksi jej wrogowie, tak Francya zespolona ściśle z Kościołem i broniąca jego sprawy, dzieliła z nim tę powagę wśród narodów katolickich, cywilizowanych, jak i wśród innowierców, pogan i plemion dzikich.

Powaga ta dziś silnie zachwiana.

Francya wypierająca się swego posłannictwa religijnego, zrywająca z Kościołem, Francya stająca się z córki najstarszej Kościoła, pierwszą prześladowczynią tegoż, traci moralnie u wszystkich.

Francya katolicka była pierwszym narodem, jako zaś naród odszczepiony od wiary, do czego dążą z niego zrobić masoni, zejdzie na plan podrzędny wśród narodów innowierczych, a może ryzykuje egzystencyę swą polityczną. Zatrważający też stan widzimy dziś w tym kraju, niegdyś tak zasłużonym dla Kościoła i cywilizacyi!

Z upadkiem i osłabieniem wiary, poszła najzupełniejsza obojętność, tak co do religii, jak i w miłości ojczyzny.

W szkołach rządowych panuje atmosfera Sodomy i Gomory.

Upadek moralności w całem społeczeństwie.

Armia rozprzężona, jak i marynarka.

Sądownictwo stronnicze w najgorszem tego słowa znaczeniu.

Bunty, strejki i rabunki niemal nie ustają. Liczba zbrodni potrojona.

Niestety złe przedarło się do Domu Pańskiego!

X. Loisy znalazł wśród duchowieństwa zatrważająco wielką liczbę zwolenników dla swych zasad, burzących podstawy wiary. Znaleźli się nawet biskupi hołdujący masoneryi! Nic dziwnego, że w takich warunkach, rząd taki jak p. Combes'a, ośmiela się na nowe coraz ataki na Kościół i zniewagi bluźniercze.

W sam W. Piątek tego roku, minister sprawiedliwości Vallé kazał pousuwać krzyże ze sądów!

Niema już krzyży w szkołach, niema po szpitalach, ani na drogach. Są jeszcze po cmentarzach, ale już mówią, że z powodu uchwalenia monopolu pogrzebowego, rząd je usunie z karawanów i z cmentarzy!

Wizyta p. Loubet'a do Rzymu też była dziełem masoneryi. Trzeba im było tego, aby zadokumentować publicznie odstąpienie Francyi od wiary przez zniewagę publiczną Przedstawiciela tejże wiary.

Dlatego sprowadzono p. Loubet'a do Rzymu, gdzie między pierwszemi deputacyami, przyjął deputacyę masoneryi, dziękującą mu w bezwstydnych wyrazach obrażających Ojca św., za dzielną walkę z zabobonami rzymskimi!

Odtąd też stosunki z Rzymem były coraz a coraz więcej naprężone.

Nuncyusz Apostolski w Paryżu narażony na zniewagi ustawiczne, wreszcie po odwołaniu ostatecznem ambasadora francuskiego przy Watykanie, Mgr. Lorencelli opuścił Francyę.

Fakt ten dziejowy przypomina mimo woli nasze polskie podanie, że kiedy bocian się wyprowadza z jakiego domu, to znak, że dom ten ma się nie długo spalić; tak widząc, co się dzieje we Francyi, trudno nie domyślać się kary bożej.

Wszyscy ją przeczuwają ze drżeniem.

Obecność przedstawiciela Papieża i tylu dusz wybranych zapewne ją jeszcze wstrzymywała...

Pozostaje jeszcze urzędowe zerwanie konkordatu, a wtedy przyjdą najboleśniejsze i najtrudniejsze chwile dla katolików francuskich!

Kościoły przejdą na rzecz państwa, budynki parafialne na rzecz gmin.

Katolicy będą musieli nowe budować świątynie i kaplice, i jałmużną swą utrzymywać duchowieństwo.

Wszystko w rękach Opatrzności, której wyroki spełnić się muszą.

Rzeczą Stolicy Apostolskiej i katolików francuskich obmyślenie sposobów ratowania wiary we Francyi i egzystencyi politycznej, z nią tak ściśle w tym kraju zespolonej.

Nam trzeba tylko odpowiednie wysnuć nauki z błędów braci naszych, za które pokutują i modlić się za Francyę szczerze, tem bardziej, że tam chodzi o Rodzinę św. Wincentego, o nasze najświętsze pamiątki, o grób św. Wincentego, i o kaplicę, gdzie Najśw. Panna objawiła cudowny Medalik.

Oby je Bóg zachował!

Paryż, 15 sierpnia 1904.

X. J. Dihm.

†

Ś. p. X. Kazimierz Siemaszko.

Pisząc wspomnienie pośmiertne o ś. p. X. K. Siemaszce, żywo nasuwają nam się słowa Pisma św. o śmierci, że przychodzi jak złodziej, z nienacka, w chwili, gdy domownicy najmniej się spodziewają. Taką była dla nas śmierć tego zasłużonego konfratra.

Ta postać wysoka i słuszna, czerstwe na pozór zdrowie, zresztą i siła wieku, wróżyły, że setnych lat nam dożyje. Zresztą — żartowaliśmy nieraz — litewska twarda natura śmierci się nie da rychło.

To też wiadomość o jego śmierci była dla wszystkich niespodzianką, że wierzyć się nie chciało w rzeczywistość bolesną, tembardziej, że nie było wiadomem, żeby chorował.

Śmierć, jak złodziej przyszła — niepostrzeżenie.

Telegramy, dzienniki rozniosły tę smutną wiadomość po świecie i ileż serc wtedy się zakrwawiło, ile ócz zasłoniła łza, a nikt niemal nie czytał tej wiadomości z obojętnem uczuciem.

Czy więc ten prosty misyonarz tak był znany i ceniony? a jeżeli tak, dlaczego? Te nam się nasuwają pytania, na które pokrótce odpowiemy.

Ś. p. X. Kazimierz Siemaszko urodził się 19 grudnia 1847 r. w Dyckajnie, na Litwie. Mało wprawdzie znamy jego młodość, lecz łatwo się domyślić, że całem jego i jedynem

pragnieniem było zostać kapłanem. Widocznie, że warunki tam były trudne; kasata zakonów ograniczała pole poświęcenia. Szczęśliwym trafem zetknął się on wtedy z X. Bąkowskim, który po kasacie pozostał w Wilnie, mianowany kanonikiem honorowym i ceremoniarzem przy katedrze. X. Bąkowski dał mu list polecający do Krakowa, gdzie też sam niedługo przybył i wiemy jak wzniosły nam dał przykład gorliwego misyonarza.

Ś. p. X. K. Siemaszko przyjęty został dnia 4 stycznia 1870 roku.

Pierwsze lata musiały mu być trudne, gdyż przychodził w stosunkowo późnym wieku, i bez przygotowania naukowego, odpowiedniego. Wytrwałość jego i łaska Boża dopełniły wszystkiego.

Dużo wtedy — można powiedzieć, wstępowało członków do Zgromadzenia, ale niemal nikt nie wytrwał.

Dosyć powiedzieć, że od r. 1867 do 1882 przesunęło się przez seminaryum internum 40 kandydatów, a został tylko jeden, a tym jednym był ś. p. X. Siemaszko.

Wyświęcony na kapłana w r. 1875, odrazu znajduje liczne pola pracy, gdyż wogóle zaledwie kilku wtedy było księży w naszej prowincyi, a pracy i dzieł dużo. Zresztą już jako kleryk ochoczo zajmował się katechizmami niedzielnymi, głosił słowo Boże ubogim na niedzielnych nabożeństwach w osobnej ich kaplicy. On to zaczął ich zbierać po mieście, przyzwyczajał do pracy i szczerej ufności w Boga i poddania się Jego świętej woli. Przewodniczył im często w rekolekcyach rocznych — rzecz wtedy zupełnie nieznana.

Jako kapłan rozszerza niedługo swą działalność na szpitale, a więc u św. Łazarza i u św. Ludwika spowiada, zaopatruje chorych. Tu się nawiązuje jego właściwe powołanie, dlaczego go P. Bóg tu, z nad Niemna, sprowadził nad Wisłę.

Chodząc do szpitala spotykał codziennie mnóstwo chłopaków obdartych, zdemoralizowanych, niemal dzikich. Nic dziwnego. Bez dachu, bez ciepła rodzinnego, bez znajomośc religii, ci „wydziedziczeni“, tułali się po mieście, najwięcej

może tu, w okolicach Kleparza, koło kolei, za wozami z węglem zbierając lub kradnąc go i co się przytem dało.

Nieprzyzwyczajeni do pracy a głodni, szli za popędem instynktu samozachowawczego, ratowali się kradzieżą od śmierci głodowej, zbierali potrzebny trzycentowy codzienny fundusz na nocleg u żyda, przeważnie na Kazimierzu, w norach zepsucia i zgorszenia. Tak wyrastali przyszli obywatele Wiśnicza, Brygidek.

Dziwna rzecz, że na to patrzyli wszyscy a nikomu na myśl nie przyszło złemu zaradzić, tym biednym przez los wydziedziczonym podać rękę, zastąpić im ojca, matkę, rzucić dobre słowo, zrobić obywatelami kraju, synami Kościoła! Trzeba było aż Litwina, z kraju północnego dziwną koleją losów do Krakowa przybyłego, syna duchowego, wielkiego miłośnika biednych, św. Wincentego à Paulo, aby przypomnieć dzieciom cywilizacyi zachodniej, obowiązek socyalnych powinności jednych warstw dla drugich, aby przypomnieć katolickim sercom, że: *res sacra miser*.

Jak więc niegdyś widok matki porzucającej swe dziecko a z daleka przypatrującej się co się też z niem stanie, dał św. Wincentemu à Paulo myśl zorganizowania przytułków dla dzieci podrzuconych; jak później w Warszawie, syn św. Wincentego, X. Baudouin, widząc psa niosącego resztę członków małego dziecka, dał myśl założenia tak znanego później szpitala Dzieciątka Jezus; tak widok tych młodych nędzarzy na ulicy, w szkole zbrodni i niemoralności, wzbudził w X. Siemaszce myśl założenia zakładu, gdzieby te jednostki oderwane od złego, mogły się wychować na pożytek społeczeństwa i nie gubić się wiecznie.

Lecz od chwili w której zostawiliśmy ś. p. X. Siemaszkę, do chwili w której zaczął istnieć na ulicy Długiej dom i schronisko imienia nieboszczyka, skok to zbyt wielki i lat było trzeba i zaiste cierpliwości litewskiej, aby się nie zrazić trudnościami.

Zaczął więc ś. p. X. Siemaszko od poufnej rozmowy z przydybanymi na ulicy chłopakami; zaczął od zbierania ich

na „podwieczorek“. Powoli, bo po dwóch latach szukania i chodzenia, zdołał wynająć pokój na nocne dla swych pensyonarzy mieszkania.

Lecz ile zawodów, ile kłopotów trzeba było mu przenieść! Mieszkania dla takich lokatorów nikt nie chciał wynająć; to znowu lokatorzy, przyzwyczajeni do brudów i swobody noclegów żydowskich, nie kwapili się korzystać z miłosierdzia litościwego kapłana; uciekali.

Wytrwałością jednak, działając dalej na pojęcia swych pupilów materyalnym zyskiem, dawał im bowiem często różne części ubrań, zdołał pozyskać zrazu kilku, później coraz więcej, którzy obrali tę drogę uczciwej pracy i porzucili swe życie koczujące na ulicy i swe dawne sposoby do życia.

Wiadomość o tym zakładzie rozeszła się echem po kraju. Mnóstwo ludzi zaczęło się zgłaszać do ś. p. X. Siemaszki z prośbą o przyjęcie swawolnych dzieci, ufając, że wpływ tego kapłana sprowadzi je na dobrą drogę.

Zaczęły napływać datki opatrznościowe i wtedy bardzo na czasie, tak, że można było zakład umieścić pod własnym dachem.

Całymi dniami ś. p. X. Siemaszko obchodził teraz Kraków, szukając majstrów, którzyby wzięli tych byłych lazaronów do terminu. Wszyscy się wzdrygali. Ledwie suknia kapłańska jego potrafiła wzbudzić zaufanie, że przecież on daje gwarancyę za swych kandydatów.

Z biegiem czasu zakład wyrobił sobie najlepszą opinię. Społeczeństwo i prasa nadzwyczaj życzliwie zaopiekowało się nową a tak pożyteczną socyalną instytucyą, to też X. Siemaszko wyjednał nawet pozwolenie na szkołę rządową w swym zakładzie.

Sejm, Rada miejska krakowska, różne instytucye roczną zasilać zaczęły zakład zapomogą.

Czas od r. 1887 do 1895 i następne, stanowią szczyt rozwoju zakładu, gdyż nawet udało się ś. p. X. Siemaszce wystawić willę pod Czerną na letnie mieszkanie dla słabszych i chłopców niechodzących jeszcze do terminu. Zakład posia-

dał również swą własną kapelę. X. Siemaszki radzono się, gdy chodziło o dzieła miłosierne, wzywano do ankiety nad fundacyą księcia Lubomirskiego, później mianowano członkiem tejże fundacyi.

X. Siemaszko zawsze jednak pozostał tym samym — skromnym i cichym pracownikiem bożym. Nie szukał rozgłosu ani sławy, lecz całe dnie, tygodnie, miesiące, lata, ciągle oddany swym wychowankom, uczący i karcący, szukał dla nich rzemiosła, wyprowadzał na ludzi.

Aż przyszedł r. 1904. Dzieło zdawało się być już utrwalone, misya jego skończona, to też już nawet była chwila w tym roku, że przełożeni mieli go wysłać na misye dla Litwinów w Londynie. Do tego nie przyszło, lecz i tu długo nie miał pozostać.

Chorował wprawdzie nieraz, lecz konstytucya jego silna, oporna, mylne nam o nim wyrobiła zdanie, że człowiek ten niespożyte ma siły. Tymczasem kilka dni starczyło, a niemal niepostrzeżenie, dnia 20 maja, zaopatrzony św. Sakramentami, umarł w zakładzie im. Helclów, gdzie go w ostatnich już godzinach, chcąc go ratować wszystkimi możliwymi środkami, przewieziono.

Pogrzeb odbył się dnia 25 maja przy licznym udziale wszystkich warstw społeczeństwa, pragnących oddać cześć temu godnemu synowi św. Wincentego à Paulo.

Dotąd widzieliśmy ś. p. X. Siemaszkę tym, czem był dla zakładu, dla chłopców opuszczonych, a teraz wypada nam dorzucić kilka słów, aby powiedzieć, że kapłan ten tak zajęty, oddany przeróżnym sprawom zewnętrznym, nie przestał być wzorowym misyonarzem w domu. Zamiłowany w duchu swego powołania, kochał reguły święte, ćwiczenia duchowne. Budował wszystkich dziwnie rzewną i silną wiarą, wiarą taką, o której apostoł mówi, że góry przenosi.

Dziwić się nam przyszło, jak mógł podołać tej pracy, bo oprócz kierownictwa zakładem, sprawował jeszcze długie lata obowiązki prokuratora domu na Kleparzu, długie lata był katechetą przy szkole św. Stanisława i przy szkole na

ul. Warszawskiej, u Sióstr; był spowiednikiem w kilku domach SS. Miłosierdzia. Spowiadał w naszym kościółku i kazania prawił. To też taka praca musiała i taki organizm jak jego, wyczerpać.

W sile wieku, w 57 roku życia, zabrał go nam Pan Bóg, pozostawiając nam wzór wytrwałości i współczucia dla nędzy ludzkiej, jaki nam nieboszczyk przez tyle lat dawał.

X. J. Dihm.

† Ś. p. X. Antoni Buczkowski.

„A ścieżka sprawiedliwych jako jasna światłość wschodzi i rośnie aż do doskonałego dnia". *(Prov. 4, 18).*

Chcąc skreślić krótki a dokładny życiorys ś. p. X. Antoniego Buczkowskiego, możemy o nim z całą słusznością powiedzieć, że życie jego było od początku jasne światłością cnoty chrześciańskiej — potem ta jasność się wzmagała i przy końcu krótkiego życia zajaśniała jak dzień opromieniony pełną jasnością słońca „aż do doskonałego dnia".

X. Antoni Buczkowski urodził się 13 stycznia 1876 r. w Budach Przeworskich z pobożnych rodziców włościańskich. Dobre otoczenie i staranne domowe wychowanie rozwijało w młodym Antonim zawiązki późniejszych cnót, zwłaszcza żywą wiarę, pobożność i zamiłowanie do modlitwy i pracy naukowej.

Z początku myśleli rodzice oddać go do gimnazyum w Jarosławiu, lecz rozmyślili się i posłali go w roku 1888 do Małego Seminaryum XX. Misyonarzy w Krakowie. Trudności w naukach początkowo napotykane przełamał X. Antoni wytrwałą pilnością i już w krótkim czasie zaliczał się do najlepszych uczniów i tak już było przez cały czas trwania studyów.

W roku 1892 przeszedł do Seminaryum, w dwa lata potem złożył święte śluby. Ukończywszy 1896 r. nauki gi-

mnazyalne w naszym Zakładzie, rozpoczął studya teologiczne z początku u nas, a w roku następnym 1897 wysłali go przełożeni do Rzymu na dalsze studya, gdzie przez trzy lata kształcił się w uniwersytecie Gregoryańskim.

Po powrocie do kraju r. 1900 z woli przełożonych został profesorem teologii i języka hebrajskiego, wykładał także przez dwa lata filozofię naszym klerykom, a jeszcze poprzednio jako kleryk był profesorem języka greckiego w Małem Seminaryum.

W naukach był ś. p. X. Buczkowski bardzo rozmiłowany, zwłaszcza we filologii okazywał wybitne zdolności, mówił biegle kilkoma językami, jak np. po włosku, angielsku i francusku. Był to umysł wyjątkowy, może nie tyle głęboki, jak niesłychanie wrażliwy na piękno i dobro — dusza na wskróś poetyczna.

Chcąc być pożytecznym Zgromadzeniu i uczeniem drugich odwdzięczyć się za trudy i koszta nań wyłożone, nabywał X. Antoni coraz więcej nauk, studyował n. p. kwestye socyalne, badał archiwa, rozczytywał się w dziełach ascetycznych z wielką pilnością. W ciągu tego czasu mianowano go na Wielkanoc 1903 r. asystentem Domu Stradomskiego i powierzono mu równocześnie opiekę duchowną nad klerem naszym i braćmi. Tutaj okazał całą dobroć swego serca.

Z wszystkimi obchodził się z miłością, szacunkiem i cichą słodyczą, która mu serca wszystkich zjednała.

Mimo że z natury był prędki i popędliwy i do uporu skłonny, umiał w życiu późniejszym tak nad sobą zapanować, iż był wzorem łagodności i szczerej uprzejmości. Miła prostota i pokora niewymuszona tego dobrego misyonarza wzbudzała ku niemu ufność powszechną. To też dusze pobożne i grzesznicy oblegali jego konfesyonał, a on im duchownej posługi nie odmawiał.

Obok zamiłowania w pracy odznaczał się ś. p. X. Antoni dziecięcą pobożnością ku Bogu, a zwłaszcza ku N. Maryi Pannie, którą swą „Matuchną“ zwykł był nazywać. Na cześć Maryi układał pieśni i kantaty i w ostatnich chwilach życia

trawiony gorączką o Maryi myślał ciągle, do Niej się modlił i konając wymawiał słodkie imiona: Jezus i Marya.

Do Zgromadzenia był ogromnie przywiązany i nieraz z tego powodu wyrażał swą wdzięczność i zarazem użalał się, że tak mało zrobił dla niego. Miał ową świętą gotowość iść wszędzie, gdzie go Opatrzność Boża poszle. Niebawem okazał tę cnotę, gdy z woli przełożonych został mianowany przełożonym w Sarnkach w połowie października 1903 roku. Wtedy ś. p. X. Antoni przepasał swą duszę wolą Boską, zamilkł i poszedł na trud, cierpienie i śmierć. Ledwie rozpoczął swe urzędowanie, gdy po dwóch tygodniach silne zapalenie płuc powaliło go na łoże boleści — a stąd wywiązały się gwałtowne suchoty, które odtąd podcinały jego organizm i o śmierć go przyprawiły 30 grudnia 1904 r. Jakiś czas leżał we Lwowie w szpitalu św. Wincentego à Paulo, leczył się potem w Zakopanem, powrócił wreszcie na Stradom i tam żywota dokonał.

Z tego, cośmy tu pokrótce wspomnieli o ś. p. X. Buczkowskim, okazuje się jawnie, że to była dusza cnotliwa, miła Bogu i ludziom, „że ścieżka tego sprawiedliwego misyonarza jako jasna światłość blaskiem swym nas budowała“.

Lecz to wszystko było jakoby początkiem i przygotowaniem do tego, co Bóg w swej dobroci miał w tej wybranej duszy zdziałać, w ostatnich kilkunastu miesiącach.

Snadź spodobała się Bogu owa prosta i pokorna dusza i dlatego chciał ją w sposób szczególniejszy uświęcić przez doskonałą czystość duszy i serca, miłość i cierpienie, przez bolesne próby, ofiary i krzyże. Ś. p. X. Buczkowski odczuwał w ostatnich latach swego życia silny pociąg łaski Bożej, aby się więcej uświęcać przez oderwanie się od siebie, poprawę swego charakteru i spełnianie aktów z cnót. Pan Bóg jego szczerym usiłowaniom przyszedł z pomocą. Doznał bowiem, jak sam się przyznał, rękę Pańską nad sobą, która go z gruntu nawróciła, tak iż z pobożnego stał się świętym w całym tego słowa znaczeniu. Pod wpływem nadzwyczajnego światła Bożego poznał stan swej duszy, jej wady, oraz

życzenia Boże co do przyszłości. Zrozumiał przez objawienie Boże, że się ma całkowicie Bogu oddać, gdyż czekają go ciężkie krzyże i śmierć. Z początku tłomaczył sobie, że to ma być śmierć duchowa przez odniesienie zwycięstwa nad naturą ludzką — krzyżem tym sądził, że był urząd przełożonego. Dopiero gdy śmiertelna choroba wstrząsnęła jego słabym organizmem, zrozumiał, iż Bóg żądał od niego ofiary z życia. Bóg tam świadkiem był tej bolesnej walki, jaką staczać musiał. Zgodził się z wolą Bożą, że będzie nieużytecznym; wszystkie swe studya i zamiary i prace oddał w ofierze Bogu. Odtąd jego posłannictwem było cierpieć z miłością i z miłości ku Bogu. „Z łóżkiem — mawiał — już się oswoiłem, i nie czuję jego przykrych więzów, owszem, wiele mu zawdzięczam“. Ukochał krzyż i cierpienie.

Niema nic wspanialszego i piękniejszego nad mężne przejście duszy na wyższy stopień świętości.

Ś. p. X. Buczkowski raz wszedłszy na te wyżyny już z nich nie zstąpił, chociaż musiał nieraz przechodzić kryzys duchową — natura ludzka chce się wtedy wyzwolić z tych więzów; różne przedmioty i ludzie ściągają na dół, szatan zwodzi, Bóg doświadcza — przychodzi wtedy pokusa zwątpienia żeby się cofnąć, że to nad siły ludzkie, żeby żyć jak inni, niby to z obawy przed odszczególnieniem.

Byliśmy świadkami, jak X. Antoni z prostotą dziecka, pytał się, co ma jeszcze w sobie poprawić, wystawiał swą duszę jak szklankę z wodą pod słońce, aby dojrzeć w sobie wszelkie skazy i błędy charakteru i z nich się poprawić. „Ogromnie chcę być dobrym — mawiał — pragnę ciągle się łamać, nie chcieć tego, do czego ciągnie natura ludzka, chcę tego, do czego mam wstręt naturalny, a za to być wiernym Bogu na każde Jego natchnienie“. Tak chciał, tak robił. Chcenie u dusz porwanych łaską Bożą jest czynem; naśladują Boga, który „rzekł i stało się“. Dusza gdy wejdzie w ten stan odmienia swą siłę, staje się olbrzymem i bieży drogą przez Boga wytkniętą. Porwana miłością Bożą całkiem się odrywa od siebie i od ziemi, targa wszelkie przeszkody,

czuje w sobie ustawiczny zapał, jakoby głód do ciągłych ofiar ze siebie i korzysta ze wszystkiego, co się przykrego w życiu zdarzy.

Pan Bóg wtedy chcąc takiej duszy dopomódz zsyła na nią różne krzyże, choroby, niepowodzenia, wzgardy od innych, spuszcza różne przykrości, dozwala, że pokusy różne szaleją w jej duszy, przyczem choroby albo inne dolegliwości doczesne trzymają ją jakoby w kleszczach. Wtedy jest żniwo do cierpień i zaparcia siebie.

Wielu z tych rzeczy doświadczył ś. p. X. Buczkowski, lubo go Bóg prowadził drogą łagodniejszą, był bowiem od ludzi kochanym, a zwykle tego rodzaju osoby z powodu niezrozumienia nie są mile widziane. Może i stąd to pochodziło, że jako kapłan i oczytany w dziełach ascetycznych i mistycznych umiał się ustrzedz wielu rzeczy, w które zwykle wpadają dusze świata nieuczone, zanim się oświecą o drogach Bożych.

Trzeba i to nadmienić, że w takim stanie dusza bardzo ma ułatwioną drogę cnoty, z powodu wielkiej miłości Bożej, jaką posiada, miłości zaś tej towarzyszą zwykle nadzwyczajne rozkosze duchowe, wesele ducha, pokój Boży i dziwna ufność i swoboda dzieci Bożych napełnia duszę, pokora trzyma ją na dnie przepaści swej nędzy. Nawet trudno żeby mogła być pyszną, tak wie doskonale, że to wszystko co ma dobrego, to Boże, a ona sama przez się jest nędzą i niczem; czemś, co zasługuje na wzgardę i poniżenie. Pan Bóg jest prawdą; gdy Bóg w duszy mieszka, takie przekonanie w niej stale obudza.

Ś. p. X. Antoni chodził w takiej prawdzie t. j. w pokorze, wsparty na miłosierdziu Bożem. Moc radości Bożej była w nim tamowana cichym smutkiem — owszem prosił nawet Boga, że jeśli dla niego lepiej, aby był w oschłościach i udręczeniach ducha, to zgadza się na to opuszczenie, byleby tylko Bóg go swą łaską nie opuszczał. I Pan wysłuchał jego życzenie, bo gdy chodzi o krzyż i upokorzenie, Bóg jest skory zaraz swych sług wysłuchać.

Pociechy duchowe ustąpiły i odtąd prawie ciągle oschłość go przenikała, modlił się, odprawiał wszystkie ćwiczenia bez smaku, ale nic nie opuścił. Brewiarz mówił chociaż już szeptać nie mógł; tak wszystko chciał dobrze wykonać ale bez przyjemności dla siebie. Stąd nic dziwnego, że taka olbrzymia przemiana w nim zaszła, że inni co go dawniej znali, gdy się z nim później zatknęli, poznać go nie mogli.

Były to owoce doskonałości i prawdziwej świętości. Cała wielkość takiej duszy wewnątrz się ześrodkowywuje. *Tota gloria... intus.*

I to nowy dowód, jak potężna jest łaska Boża, że stan duszy tak zwany bierny czyli mistyczny nie jest ani urojeniem, ani dziwactwem, lecz szczerą rzeczywistością, nie jest sam w sobie świętością, lecz potężnym i skutecznym środkiem do świętości. Życie to polega na poznawaniu Boga i rzeczy Bożych p r z e z d o ś w i a d c z e n i e. Dusza wtedy jakoby z bliska patrzy wiarą na Boga, odczuwa Jego obecność w sobie nie tylko na modlitwie ale i kiedy indziej, staje się delikatną na głos Boży, ma jakoby duchowy zmysł słuchu. Pan w niej stwarza i doznaje mimo oschłości dziwnego rodzaju smaku w Bogu i rzeczach Bożych. To wszystko jest dziełem Boga, nie człowieka. Choćby kto chciał dojść o własnych siłach do tego stanu, nigdy nie dojdzie — przeciwnie gdy Pan duszę swą obecnością przeniknie, nie można wtedy nie odczuwać obecności Boga i musi dusza doznać błogich skutków działania Bożego.

Takim się nam okazał u schyłku życia ś. p. X. Buczkowski. „Bóg sam“ Bóg mu wystarczył za wszystko, bo całkiem się w Bogu pogrążył. „Powinienem — mawiał — być jak gąbka we wodzie Bogiem przeniknionym, Bogiem i jeszcze Bogiem“. I takim umierał z całą przytomnością ducha. Rano w dniu śmierci, gdy mu przyniesiono wiatyk, zerwał się i na klęczkach na ziemi Pana swego przyjął. Skoro się dowiedział w południe że musi umrzeć, ręce z wdzięczności ku niebu podnosił, głośno swą radość wyrażając.

Już o niczem nie myślał tylko żeby pójść do Pana Jezusa, co też niedługo potem nastąpiło. Przed godziną trzecią po południu w piątek łącząc się z Jezusem konającym na krzyżu czystą i piękną swą duszę Bogu oddał, zostawiając dla swych współbraci bolejących błogą nadzieję, że jest zbawionym i że mają w nim wzór cnoty i nowego przyczyńcę w niebie.

X. Cz. Lewandowski.

SPRAWOZDANIE Z WYCIECZKI MISYJNEJ

odbytej

PRZEZ KONFRATRÓW Z TARNOWA

wśród Polaków z pod zaboru pruskiego.

Kiedym w maju roku bieżącego bawił na rekolekcyach naszych Sióstr w Chełmnie, poznałem się z kilku księżmi z dyecezyi Chełmińskiej, którzy mnie prosili, abym do nich przyjechał na rekolekcye i na misye. Nie mogłem na razie nic stanowczego obiecać, raz dlatego, że nie wiedziałem, czy mi czas na to pozwoli przy obecnych mych zajęciach w Tarnowie, a potem trzeba było mieć osobne pozwolenie, jako do misyj zagranicznych, od naszego Czcigodnego Księdza Wizytatora. Nastała korespondencya — a potem przyjechał zacny i poczciwy X. Dominik z Chełmna i ten targu dobił; zajęcia w Tarnowie jakoś się ułożyły, a JMC. Ksiądz Wizytator jak najchętniej swoje „placet“ także nadesłał — przeszkody więc nie było. Tak tedy ja i X. Kandora pojechaliśmy do Prus, aby pracować wedle naszego powołania na rekolekcyach i na misyach.

Pracę naszą zaczęliśmy w Chełmnie d. 2 października rekolekcyami nibyto dla różańcowych bractw, a właściwie dla całej parafii. Lud jak najchętniej się schodził do obszernej świątyni Chełmińskiej, a w niektórych czasach kościół

był tak napchany, że trudno się było dostać na ambonę. System nasz trochę zmieniłem, bo tu lud głównie rano i wieczorem wolny, więc w tych czasach najwięcej było pracy, a przez cały dzień tylko spowiadaliśmy. Konfesyonały zawsze były obleżone, choć spowiadało nas stale 10 i więcej kapłanów — wszystkich na tej seryi wyspowiadaliśmy przeszło 2.000 osób. Zmęczeni byliśmy, ale zmęczenia nie czuliśmy tak bardzo, widząc u ludu tę polską, żywą wiarę i to mocne do niej przywiązanie — a także i dlatego, że pracowaliśmy w kościele, w którym ongi pracowali nasi Konfratrzy przez lat kilkanaście, jako duszpasterze tej parafii. Wiele nawet śladów po nich znajduje się w kościele, jak ołtarz naszego świętego Ojca, św. Wincentego a Paulo — także jeden z Księży Misyonarzy ma tu swój wielki portret, wiszący na ścianie, we formie medalionu, z podpisem „Apostolico viro, optime merito scientia, pietate, zelo, cura postorali eximio“ — to portret X. Michała Barszczewskiego, który d. 9 września 1802 r., głosząc kazanie o śmierci, nagle życie zakończył na ambonie. Z nowszej generacyi księży Misyonarzy pamiętają tu jeszcze ś. p. X. Popławskiego, X. Gawrońskiego i X. Blocka. Miłe to iście wspomnienie po drogich współbraciach naszych.

Druga serya rekolekcyj była przeznaczona dla Dzieci Maryi i dla panien różańcowych. Tu praca szła bardzo poważnie — bo były nietylko Dzieci Maryi z Chełmna, ale i z całej okolicy a nawet z dalekich stron, z Gdańska. Przy konfesyonałach ścisk — spowiadaliśmy niekiedy do $10^1/_2$ wieczorem, a kiedy dla późnej pory wypraszałem spowiedników z konfesyonałów, powstawał szmer wśród penitentek, z obawy, czy wszystkie się wyspowiadają. Jakoś Pan Jezus nam dopomógł i wszystkie się wyspowiadały w liczbie 1600 osób. Na zakończenie JMC. X. Dyrektor Dzieci Maryi poczciwy X. Dominik rozdawał Komunią św. Wszystko w radosnem uniesieniu, zjednoczone z Bogiem, opuszczało progi tej świątyni, gdzieśmy Misyonarze tyle pociechy, a ludzie tyle łask Bożych doznali.

Wypocząwszy sobie trochę u naszych poczciwych i gościnnych Sióstr w Chełmnie, pojechaliśmy do Boluminka, aby d. 15 października zacząć ośmiodniową misyę.

Boluminek.

Ciekawy to ten Boluminek, prawdziwie za lasami — a naokoło same tylko piaski. Prócz folwarku, szkoły i kościoła, niema żadnego domu. Kościół mały ale czyściutki. Tu pracuje jako duszpasterz X. Prabucki, kapłan zacny i szanowany przez sąsiadów. Podobno jeszcze nigdy misyi tu nie było, więc ludzie ogromnie ciekawi, jak ci Misyonarze wyglądają. Mimo żeśmy pracę podzielili na dwie serye, kościół zawsze pełny: gorąco nie do wytrzymania, istna łaźnia parowa, a jednak wszystko stoi cicho i słucha z natężoną uwagą. Praca szła gładko, bo bardzo wielu księży pomagało nam w słuchaniu spowiedzi. Przez obydwie serye wyspowiadaliśmy 1.200 osób. Z przeszkód stawianych tej misyi wnioskować możemy, że ona wielom zbawienie przyniesie — bo wszyscy panowie obszarnicy lutrzy straszne listy Księdzu Proboszczowi pisali, aby tylko misyi nie było, ale X. Proboszcz niczem się odstraszyć nie dał. Dnia 23 października wśród ogromnego tłumu ludu poświęciliśmy krzyż misyjny. Wspaniały to był widok, jak krzyż ten niesiono w procesyi koło kościoła a ludzie podlatywali, aby choć trochę palcem mogli się dotknąć krzyża misyjnego. Po południu, żegnani przez zacnego X. Proboszcza i poczciwych parafian, odjechaliśmy na dalszą pracę do Lubawy.

Lubawa.

Jeszcze dnia 23 października zaczęliśmy pracę w obszernej świątyni parafialnej w Lubawie — kościół szczelnie napchany, aż mrowie mnie przechodzi, gdy myślę, kto tych ludzi wszystkich wyspowiada. Ale jakoś P. Bóg łaskaw na swoje dzieci — bo zesłał nam sąsiadów kapłanów, którzy

nam gorliwie w pracy pomagali i z ich pomocą wszyscy się wyspowiadali. Gorliwością swoją budowali nas Ksiądz Proboszcz tutejszy X. Dr. Okuniewski i wikary X. Piechocki, którzy przez cały czas w konfesyonałach wraz z nami pracowali. Miały to być tylko rekolekcye dla Dzieci Maryi i dla Pań Miłosierdzia, ale brała w nich udział cała parafia. Przez cały czas wyspowiadało się do 1.300 osób. Rano 27 października rozdaliśmy Komunię św., a popołudniu w kościele św. Barbary było przyjęcie do Dzieci Maryi. Mój towarzysz X. Kandora przemówił z ambony, a ja potem przyjąłem przeszło 40 panien do Dzieci Maryi a jeszcze więcej na aspirantki. Po tak ciężkiej pracy spoczęliśmy u naszych zacnych Sióstr w Lubawie prawie przez trzy dni, aby zmęczone piersi jako tako przyprowadzić do porządku.

Rywałd-Rehwalde.

Z wielką radością jechałem do Rywałdu, bo tam proboszczem jest X. Dąbrowski, znany z poczciwości i gorliwości kapłan. Kościół i dom obszerny — to kiedyś kościół kapucyński, dziś na parafialny przerobiony. Struktura kościoła — ciemno malowane ołtarze przypominają kościół i dom naszych Sióstr w Maryampolu także pokapucyański.

Pracę naszą zaczęliśmy dnia 29 października a skończyliśmy dnia 2 listopada. Mimo, że Rywałd to mała parafijka, pracy jednak dużo było, bo i z okolicznych parafii wielu w rekolekcyach udział brało. Wyspowiadało się około 1000 osób. Wielu kapłanów sąsiadów zjechało się do pomocy, a poczciwy ksiądz proboszcz miejscowy od rana do wieczora siedział w konfesyonale. Dnia 2 listopada zakończyliśmy naszą pracę w Rywałdzie i jeszcze tego samego dnia pożegnawszy się z zacnym X. proboszczem, pojechaliśmy, zbliżając się ku domowi, przez Toruń do Poznania.

Dziś odpoczywając po ciężkiej tej pracy, jakąśmy ku chwale Bożej przedsięwzięli, z radością wielką wspominamy sobie te chwile na misyach spędzone i cieszę się, że w tamtych stronach znaleźliśmy jeszcze teraz, mimo tak strasznego

prześladowania — tyle wiary żywej i tyle przywiązania do kościoła katolickiego. Także raz jeszcze Bóg zapłać składam naszym zacnym Siostrom tak w Chełmnie jak i w Lubawie za szczerą gościnę, jakiej nam podczas naszych prac użyczyły.

Pisałem w dzień św. Marcina 1904.

X. Stanisław Tyczkowski.

SPRAWOZDANIE Z MISYJ

odprawionych przez

XX. MISYONARZY Z KRAKOWA,

z Domu Kleparskiego

przedłożone

JMC. X. JÓZEFOWI KIEDROWSKIEMU,

Wizytatorowi Prowincyi Polskiej.

(Ciąg dalszy).

Jastrząbka Stara.

Dnia 1 kwietnia opuściliśmy ukochane Zgórsko, skąd wychyliliśmy się poza powiat mielecki do pilzneńskiego, około południa znowu stając w Jastrząbce Starej. Im bliżej Tarnowa, tem jakiś grubszy lud, oblicza dziksze, boć to tu trakt główny, po którym kroczył i najjaskrawsze zostawił ślady rok 1846, tak smutny w historyi naszej Galicyi. Mimowoli wspomnienie to nasuwa się do głowy, kiedy się ludzi i okolicę tutejszą zobaczy. Okolica obrosła lasami, ziemia piasczysta, lud z wejrzenia srogi, a wszystko to bierne robi wrażenie. Jechaliśmy tam drogami ze dwie godziny z małym przystankiem w Żdżarcu u proboszcza. W drodze jeden z nas X. Krzyszkowski, zaziębiwszy się w Zgórsku, humor stracił i zaczął gorączkować; X. Trawniczek natomiast świetny miał humor; ja po części jednego i drugiego się trzymałem i tak stanęliśmy w Jastrząbce, z przydomkiem *starej*.

W tej Jastrząbce Starej, wszystko jakieś niby nie stare, a przecież starością zalatuje. Kościół zaledwie 100 lat stoi, a dobrze starością namarkowany; lud jeszcze twardy, zu-

chwały. Proboszcz jeszcze nie zgrzybiały, ale dobrze posiwiały, zawsze obwiązany chustką, baranami otulony, fajeczkę pociąga, a chrypliwym głosem rozprawia i stare dzieje wywodzi; typ wytrawnego plebana, bywaka. Powiadają, że jak się kto zrana na obrazek św. Krzysztofa popatrzy, to się cały dzień będzie śmiał; podobnie zobaczyć X. Zielonkę, lub głos jego posłyszeć, wystarczy, by mieć humor przynajmniej na 2 tygodnie — taki dowcipny i sympatyczny ten sługa Boży. Jest tu proboszczem od 1889 r. Zastał wszystko w ruinie: materyalny kościół zaniechany kompletnie, a duchowy — parafianie — jeszcze większą brzydkością spustoszenia dotknięci i nacechowani. Włosy na głowie stają, kiedy się zajrzy do *Liber memorabilium* czyli kroniki parafialnej i przeczyta o roku 1846 popisane.

Stare pokolenie już prawie wygasło; rzadko kto z żyjących parafian był świadkiem tych scen bolesnych; jednakże to dzikie zbójeckie usposobienie, jakiem się przodkowie odznaczali, przeszło w krew i kości potomków; zdaje się, że gdyby dziś posłyszeli komendę, podobną, jak przed 60 laty, gotowi rznąć, szarpać, rabować — bez skrupułu. Proboszczyna biedny, jak może, nawołuje do Boga; sprawy jednak bardzo tępo ku lepszemu się obracają. Przez przeciąg okrągłych lat stu, byli ludzie prawie wszelkiej opieki duchownej pozbawieni, to i nie dziw, że tak zdziczeli. Było trzech rzekomo pasterzy a właściwie najemników w tym czasie: jeden gospodarz i przedsiębiorca, kasy pilnował, nie parafii; drugi kaleka ciemny, przesiedział tu coś 45 lat; a po nim znowu jakiś kaleka przyszedł. Obecny dopiero proboszcz dźwiga wszystko z upadku, naciąga do renesansu tych pod każdym względem zacofańców. Znowu natrafił na dobę emigracyi ludu w Prusy i do Ameryki. Tacy emigranci wiele mu fermentu niebezpiecznego do parafii przynoszą; radzi sobie jenak z nimi, jak może — i już wiele dobrego zrobił. Kościół jeszcze obszarpany; ale przecież ołtarze przynajmniej nowe, ładne i gustowne postawił X. proboszcz Zielonka. Pracę jego w konfesyonale niestrudzoną, może kiedyś parafianie

zrozumieją i usłuchną jego głosu. Niektórzy już mu swe serca otworzyli, ale i zuchwalców nie brak dotąd takich, co się naśmiewają z poczciwego staruszka, psoty mu wyprawiają, szkody, a nawet po sądach włóczą. Nie dawno przed misyą, idąc na spacer, X. proboszcz zauważył, że mu jego parafianka wypasa koniczynę. Upomina kobietę, a ta mu się stawia zuchwale i impertynencye wygaduje. Zgniewało to staruszka, odejmuje od fajeczki cybuch i kilka razy nim kobietę po sukni przetrzepał — ot dla postrachu. Dowiedział się o tem mąż, znany w całej okolicy pijak i pieniacz, i proboszcza zaskarżył. Kiedy przyszło do rozprawy, nie zawachał się i to pod przysięgą zeznać, że z trzeciej górki widział, jak proboszcz jego żonę kołem grubym walił. Staruszek musiał coś za ten interes zapłacić. Wkrótce jednak sam Pan Bóg upomniał się o krzywdę, swojemu słudze wyrządzoną. Miał ten człowiek syna już dorosłego, który chcąc ojcu dopomódz do spłacenia długu, wyjechał za zarobkiem do Ameryki. Ztamtąd posyła i posyła dolary, aż wreszcie myśli, że już chyba dosyć; z tego co dotąd posłał ojcu, już mógł długi popłacić i jeszcze nieco złożyć. Wraca z Ameryki. Niestety na miejscu dowiaduje się, że ojciec zamiast długi spłacać, przepił cały jego zarobek. Przyszło do sprzeczki, wśród której pchnął ojca, i tenże upadł na grabie tak nieszczęśliwie, że sobie oko wybił, to oko, co niedawno za dobrze z trzeciej górki widziało. Niedługo potem wdał się znowu tenże ojciec w zatarg z niespokojnemi ludźmi i przyszło do bitki: podbili mu drugie oko, że już mało co widzi i przytem jakąś inną bolesną psotę mu zrobili, że się musiał w szpitalu leczyć.

Wszystko tu, jak się rzekło, stare. Organ w kościele już nie dźwięki, ale jęki nieznośne wydaje, zwłaszcza, jak przy nim siędzie jakiś konwertyta, (czy jeszcze dotąd luter?), miejscowy organista. Na wolarza chybaby się ten człowiek nie zdał, a organistostwa się czepił; jakiś szwab, czy cygan z rodu, wyrazy okropnie przekręca i ludzi śmieszy. Z takim to człowiekiem trzeba było całe nabożeństwo w Palmową niedzielę odprawić. Potężnie też wzdychał X. Franciszek, kiedy

na niego los ten przypadł. Kościelny, recte grabarz, również typ osobliwy — ani się z nim zmówić. Zażądało się kropidła, to kapę podał; trzeba ogień w kadzielnicy rozdmuchać, ten świece gasi, albo też poszedł za sygnaturkę ciągnąć. Na końcu przecież się przyznał, że jak był młody, spadł raz na ciemię — i od tego czasu ma felerną głowę, że go i do wojska nie chcieli. Dzwonica już stara i felerna. Poszedł sobie on dziadek pewnego razu na pacierze dzwonić, ciągnie i ciągnie, a tu wiązanie stare, zbutwiałe, rozsuwa się i dzwon tuż obok niego spada — cud, że go nie zabił! X. Proboszcz dowiedziawszy się o tym wypadku, postanowił nową, murowaną dzwonicę wystawić. Gdzieś w okolicy trafiło mu się stos granitów nabyć; zwieziono kamienie pod stary kościół i pilnuje ich staruszek, jak skarbu, a co kto do niego przyjedzie, to mu je pokazuje, dodając, że jeszcze chciałby dożyć czasu, gdy w Jastrząbce wieża z zegarem stanie. Najwięcej go gniewa, jak mu chłopaki te kamienie rozrzucają. Myśmy wzięli kilka, żeby krzyż misyjny ustawić; nie bez widocznego bólu nam na to pozwolił.

Parafia liczy dusz tylko coś $1\frac{1}{2}$ tysiąca — a i tych z połowa w Ameryce siedzi. Nie było więc znowu co dzielić: wzięliśmy wszystkich na raz. W słuchaniu spowiedzi, dopomogli sąsiedzi i sam proboszcz wytrwale konfesyonału pilnował, od czasu do czasu wykrzykami swemi urozmaicając nam pracę. Przyszedł np. mały chłopczyna i klęknął, żeby się spowiadać; on na niego: „Wstańże, wstań, boś ty mały!“ Drugi znowu zanadto się nachylił i trudno go mógł dosłyszeć; znowu się staruszek odzywa: „Ty! gadaj mi do ucha, nie pod pachę!“ Jak się który czapką zasłonił, wyrywał mu czapkę i rzucał gdzieś za ławki; a chłopcy umyślnie się ku niemu pchali.

W czasie od 1 do 6 kwietnia wyspowiadało się tu 1100 osób, ślubowało 1000; do Wiecznego Różańca świeżych przystąpiło 800 a kółek żywego Różańca powstało coś 10. Nauk powiedzieliśmy 18. W poniedziałek d. 16 kwietnia odjechaliśmy przez Czarną na święta do swoich.

Mszana dolna.

W Krakowie zabawiliśmy tylko do soboty *in Albis;* poczem znowu trzeba się było brać do potężnej wyprawy. Mszana dolna w dyecezyi tarnowskiej, powiat limanowski, sąsiadka Niedźwiedzia, o którym tyle było wyżej mowy, była centrum naszego manewru. Parafia liczy około 10.000 dusz. To też prosił X. Dziekan Jankowski, jeżeli można, żeby nas sześciu nie czterech przybyło. Dobraliśmy się w taki sposób: Naprzód ci trzej, co aż po same święta ciągnęli misyjne jarzmo; dalej do nas przyłączył się i senior ś. p. X. Kamiński. To z Kleparza. Ponieważ zaś wyprawa amerykańska do Stanów Zjednoczonych z nieprzewidzianych przyczyn na razie się wtrzymała, udało się ze Stradomia zaangażować X. Głogowskiego, jako piątego druha.

Stanęliśmy na miejscu dnia 18 kwietnia popołudniu. Przez cały czas naszej jazdy sypał śnieg, jak w grudniu. Takie osobliwości podobno najwięcej młodą fantazyę podniecają. Do wieczora jeszcze daleko, siedzieć się przykrzy. Rada w radę uchwaliliśmy przejechać się do Niedźwiedzia. Takeśmy się go bali — a teraz nam jakoś przylgnął do serc. Dał X. Dziekan konie — to i jazda! XX. Głogowski, Trawniczek i ja. Z Krakowa wybraliśmy się jak ku wiośnie — lekkawo — to nas nie źle wygrzało w czasie tej jazdy. Wróciliśmy jednak zdrowo wszyscy.

W Mszanie dolnej jeszcze przed 14 laty dali OO. Jezuici Misyę w starym jeszcze drewnianym kościele. Była to Misya urzędowo narzucona, przebrzmiała, jak burza, został tylko krzyż i ten zbutwiały — trzeba było wszystko brać od od nowa. A jednak braliśmy się ochotnie. Ile razy wypadło nam obok Mszany dolnej w okolicę Limanowej jechać, a widzieliśmy wspaniały tutejszy kościół, mówiliśmy sobie nieraz z nieodżałowanym X. Kamińskim: Ej! do tego kościoła się dostać, to by można gardła popuścić". I oto czegośmy pożądali — tegośmy doczekali. (C. d. n.)

X. J. Sokołowicz.

AMERYKA POŁUDNIOWA.

Sprawozdanie z Misyi w Paranie (Brazylia).

(Ciąg dalszy).

Lucena, 25 lipca 1904.

Czcigodny Księże Wizytatorze!

24 marca wybrałem się w dalszą drogę. Chciałem dotrzeć do Porto Victoria da Uniao i do Jangady t. j. tam, gdzie ostatni Polacy mieszkają. Droga daleka, bo trzeba było konno zrobić 120 km. i to po najokropniejszych drogach i przez dziewicze lasy.

Towarzyszyło mi 2 Polaków: Kozłowski i Stanisław Łaniewski. Ostatni znał dobrze drogę, natułał się już wiele po Bożym świecie, bo był we wschodniej Azyi, w Chinach, a 3 lata we Władywostoku. Pysznego mi przyprowadzili konia, wytrwałego, bystrego i wygodnego do jazdy, bo lekko bardzo nosił jeźdźca. Droga z początku miła, dzień pogodny, czułem, że jestem naprawdę misyonarzem i żeby mi nie jeden z Krakowa pozazdrościł tego szczęścia, gdyby mnie widział na koniu, z tłumokami jadącego w dalekie strony przez dziewicze lasy.

Zrazu prowadziła droga przez kolonię, to w górę, to na dół, ludzie powychodzili z domków, by się pożegnać ze mną. Prosili, by im poświęcić domki, ale musiałem odmówić, bo trzeba było pospieszać, by przed nocą dojechać do domu pewnego Brazylianina. Jechaliśmy dość prędko, bo wszystko zapowiadało deszcz. Papugi się strasznie darły, gromadami przelatywały nad głowami, to żmija się przesunęła przez drogę, to ogromny jaszczur wygrzewał się na słonku, które coraz bardziej piekło. Już wjechaliśmy w dziewiczy las, gdy

grzmieć poczęło. Wokoło ani jednego domu, las wilgotny, tylko wąska ścieżka wskazywała na ślady ludzkie; to w prawo, to w lewo wykręcać trzeba, bo drogę tamują wywrócone drzewa lub rozlane kałuże. Raz po raz schylać się musimy, bo gałąź przeszkadza, czasem z biedą tylko przesunąć się można między drzewami. Trzciny, wysokości kilku metrów tak wiele, że nic przed sobą nie widać. W tem zawyły małpy, bardzo tu pospolite, bo znachodzą się w całych gromadach. Były to wyjce „mycetes". To niezawodny znak, że będzie padać. Wkrótce też lunął deszcz, droga do reszty się zepsuła, konie niekute ślizgały się, a las stawał się coraz gęstszy, droga coraz haniebniejszą — same tylko dziury i kałuże rozlanego błota, konie tonęły w niem po same kolana, — trzcina porwała mi kapelusz, a koń tymczasem uniósł mnie pod wystającą gałąź. W okamgnieniu zrozumiałem całe niebezpieczeństwo, pochyliłem się w tył tak, że leżałem na wznak na koniu, ale gałąź zwlokła mnie na dół i wpadłem cały w kałużę błota. Przerażeni towarzysze przyskoczyli do mnie, ale ja już tymczasem wydobyłem się z kałuży cały zwalany i lekko na twarzy draśnięty. Nie było innej rady, jak myć się w tej kałuży błota. Deszcz dalej padał, a tu jeszcze 30 km. drogi przedemną. Zmoczony i zbłocony dosiadłem konia i znowu jechaliśmy po tej strasznej drodze. Na szczęście po przeszło godzinie rozwidniło się trochę, a słońce przedarło się przez chmury. Dojechaliśmy do wielkiej fazendy tj. wielkiej posiadłości. Mnóstwo bydła rogatego się pasło — las ogrodzony parkanem, pełno w nim herbaty brazylijskiej. Mieszka tu Polak, Rogowski, ożeniony z Brazyljanką. Lecz już tylko z nazwiska Polak, bo już i języka ojczystego się wstydzi i zapisany do masoneryi, ani o kościół, ani o innych Polaków się nie troszczy. Brzydzą się też nim Polacy w całej kolonii. Przed domkiem jego gromadka dzieci się bawi. Takie wszystkie miłe — to nie dzieci brazylijskie, lecz żywe polskie twarze — ale już one po polsku nic nie rozumieją, stracone dla Polski nazawsze. Choć kolonie młode jeszcze, ale wielu się już wynarodowiło, zwłaszcza młodzież, a skoro

się jeszcze z Brazylijanką ożeni, przepadł nie tylko dla Polski, ale i dla Kościoła, bo tutejsi Brazyljanie zaledwie raz na rok do kościoła zaglądają. Jak długo Polak ojczystej trzyma się mowy, tak długo dobrym jest katolikiem, lecz z mową i wiarę ojców traci. Tak się stało z Rogowskim, przez którego majątek przejeżdżaliśmy. Była tu przynajmniej ścieżka wygodna, to i koniom się ulżyło i prędzej pospieszyć mogliśmy. Już z koni nie schodziliśmy wcale; w tym dniu jadąc jedliśmy obiad, i jadąc odmówiłem pacierze kapłańskie.

Wreszcie dojechaliśmy nad brzeg szerokiej rzeki Santa Anna. Mosty tu nieznane, a rzeka miała najmniej 25 metrów szerokości. Nie było innej rady, jak wyszukać bród w rzece i przejechać, a miejscami przepłynąć ją w pław. Po całogodzinnej jeździe spostrzegł się jeden z przewodników, że zbłądziliśmy, bo dojechaliśmy znowu do innej rzeki, z której sobie sprawy zdać nie mógł. Nie było innej rady, jak tylko wrócić nad brzeg rzeki Santa Anna i jechać inną ścieżyną. Ale co za droga — konie toną w błocie po same brzuchy, ubranie moje zupełnie błotem pobryzgane, niepodobna sobie wyobrazić gorszej drogi, zdawało się, że niepodobna puszczać się tędy; gdyby ktoś tę drogę widział, Brazylii odechciałoby mu się na zawsze. Tak grube kłody drzewa leżą w mniejszych lub większych odstępach na ścieżce, że koń je ledwie tylko przeskoczyć może. Biedne zwierzęta były zupełnie spocone, a spocząć nie mogliśmy, boby nas noc zaskoczyła w wilgotnym lesie. Głucho i pusto wokoło, jakby śmierć panowała w tych kniejach, nie widać ani zwierza, ani ptaka. Na pniaczku jednym siedział tylko ptaszek preguiçoso t. j. leniwy, bo powiadają o nim, że nigdy za owadami nie goni, tylko siada, dzióbek otwiera i czeka, dopóty mu co nie wpadnie. Nigdy potem dowiedzieć się nie mogłem, ile w tem prawdy, bo inni Brazylianie mówili mi, że nazwa jego stąd pochodzi, że bardzo śmiały i łatwo złapać go można.

Dokuczało nam także pragnienie, a nie było go czem zaspokoić, kilka tylko znaleźliśmy czarnych jagód jeżyny. Byłem naprawdę w dzikiej okolicy. Miejscami ginął ślad drogi,

jechaliśmy tedy wolno i ostrożnie, by nie zbłądzić. Wreszcie las rzednieje, wjeżdżamy na szeroką i wesołą polanę, z jednej strony ciągnie się pasmo gór, oświecone ostatnimi blaskami zachodzącego za niemi słońca. Słychać także głosy ludzkie gdzieś w dali, niebawem wychyliła się gromadka ludzi — to Brazylianie i Brazylianki na koniach wracają z pól swych do domu. Jak przyjemnie zobaczyć kogoś z ludzi w głuchej puszczy!

Do domu, gdzie nocować zamierzaliśmy, było jeszcze 20 km. — już w drogę puszczać się nie mogliśmy, bo nam konie ustały. Trzeba było oglądnąć się gdzieś za noclegiem. W dali widać jakąś chałupkę, jedziemy tam dotąd. Wychodzi brudna kobieta na wpół naga, z brudnego naczynia daje się nam napić wody. Dzieci i mąż równie obdarte i brudne. Jest nocleg, ale w domu 60-letni waryat, który się w niebogłosy rozdziera, a w szale na drugich się rzuca. Trzeba jechać dalej. Przyjął nas jakiś Brazylianin z ogromnym nożem u pasa. Domek jego nędzny — w jedynym pokoju na podłodze leży pełno fasoli i kukurudzy, stół i ława, to wszystkie sprzęty domu. Jestto najpoważniejszy obywatel na całą okolicę — ale niemiłosiernie pluł wokoło. Musiałem się zupełnie posunąć w kąt, boby mnie był opluł zupełnie. Gospodyni, młoda jeszcze Brazylianka, ciekawie się przypatrywała polskiemu księdzu, bo taki jeszcze nigdy gościem u nich nie był. Domyśliła się, że podróżą wyczerpani i głodni jesteśmy. Ugotowała sporo ryżu i fasoli. Fiżon t. j. czarna fasola, nigdy mi jeszcze tak dobrze nie smakował, chociaż talerz i łyżka były brudne. Skarżył mi się gospodarz, że jest bardzo biednym człowiekiem. Pytam go tedy, ile ma ziemi, a on mi na to: 1000 akrów t. j. przeszło 3000 morgów austryackich. Polacy mają tu kawałek ziemi, a wyżyją i chleba mają tu podostatkiem, Brazylianie mają ogromne obszary a z głodu przymierają, bo to naród niesłychanie leniwy. Nic nie robią cały dzień, nie chce im się trzymać ani drobiu, ani trzody chlewnej, sadzą tylko czarną fasolę, a mając jej, podostatkiem szczęśliwi są, bo to ich jedyna i ulubiona po-

trawa. Jak fiżonu zabraknie, głód wtenczas i nędza najokropniejsza. Chleba nie znają, gdy im go ktoś da, zjedzą środek, a skórkę na ziemię cisną.

Ale wokoło tu bardzo wesoło, szeroka polana, jakby wielka łąka ciągnie się daleko — chodzą po niej krowy, muły, osły, konie i długowłose kozy. Już się rozchodzi wieść, że jest ksiądz, nawołują się wzajemnie donośnym głosem. Do parafii mają 15 mil, skorzystać chcą z okazyi, by pochrzcić dzieci. Przychodzi jeden po drugim ucieszeni, że ich odwiedził ksiądz. Leśni Brazylianie choć ciemni, ale są jeszcze religijni, dałoby się jeszcze coś z nich zrobić, ale nikt ich nie pouczy, bo brazylijskich księży bardzo mało, a do kościoła bardzo daleko. Zostawieni samym sobie prowadzą życie patryarchalne, a czego się kiedyś nauczyli, przekazują to dzieciom swoim.

Miałem z sobą Oleje św., — pochrzciłem więc większe i mniejsze dzieciaki. Jeden z Brazylianów prosił mnie do swego domu, bo żona chora, a niemowlę słabe. Bóg dobry, powiada, że nam Ojca zesłał, bo dziecko zapewne tej nocy umrze. Pytam czy daleko, a on mi palcem pokazuje, że to bardzo blizko, tam zaraz na dole. Zmęczony całodzienną podróżą wybieram się do jego domu. Była pierwsza kwadra księżyca, noc pogodna, rosa obfita, idę i idę, a domku żadnego nie widać. Uszedłem tak ze 3 km. i to było bardzo blizko, bo u nich 3 mile to też bardzo blizko.

Przychodzę do nędznej chaty, w środku na ziemi ognisko, wokoło gromadka kobiet i dziewcząt; najstarsza z nich paliła fajkę, inne cygara, i herbatę popijały. Obok nich mężczyźni i chłopcy, dwa psy także leżały przy ogniu i drzemały. Przysiadłem i ja przy ognisku. Brudu pełno. Gospodyni stawia wodę na ogień, mrowie mnie przeszło, bom się domyślił, że będzie gotowała dla mnie kawę. Do gotującej wody nasypała cukru z pudełka, z którego przedtem pies się pożywił, a gdy się już kawa zagotowała, skosztowała jej, uśmiechnęła się zadowolona, bo się widocznie udała, tą samą łyżką jeszcze pomięszała i następnie mi podała w garnuszku

brudnym, a w dodatku bez ucha. Oczy przymknąłem i chciałem jednym razem wypić, ale się nie dało, bo kawa była kipiąca. Im gorętszą podaje Brazylianin kawę, tem milszy mu gość; otrzyma ktoś letnią albo zimną kawę, to znak, by się wyniósł czemprędzej.

Tymczasem przygotowywano się do chrztu, ubierano dziecko w jakieś gałganki, a jeden z Brazylianów opowiadał mi o apostole Brazylii Janie Marya. Ma to być Francuz z pochodzenia, człowiek bezżenny, przebiega jeden stan po drugim i to pieszo. Nigdy nie wsiada na konia, mieszka pod gołym niebem i choć pada deszcz, nigdy nie zmoknie. Karci lud, nawołuje do pokuty, każe Brazylianom zapatrywać się na Polaków, jak pilnie przestrzegają postów i świąt. Podobno i chrzci i śluby daje. Mówi też po niemiecku, polsku, włosku i powiadają, że otrzymał dar języków. Zapuszcza się do dzikich Botokudów, którzy się gromadzą koło niego. Jest tu w Paranie drugi podobny jemu, mulat Jan Chrzciciel, który również pieszo przebiega Paranę i do pokuty nawołuje. Spotkałem się z nim; odrazu gromadzi się koło niego naród, lecz on pozostaje zawsze spokojny; łagodny wyraz twarzy i dziwnie wymarzone oczy nadają jakąś pociągającą fizyonomię brzydkiej zresztą twarzy.

Ochrzciwszy dziecko, wróciłem na nocleg. Wokoło rozlegał się pobożny śpiew. W wielkim poście bowiem w czwartek i piątek wieczorem gromadzą się Brazylianie i chodzą od domu do domu śpiewając pobożne pieśni.

Z powrotem zastałem już przygotowane posłanie — rozciągniętą skórę wzdłuż ściany pokoju. Woreczek wiórami napchany miałem pod głową. Usnąć było ciężko, pies w pokoju skomlił, za ścianą domu rżały konie, nierogacizna się gryzła, w końcu zerwał się zimny, gwałtowny wicher i noc zrobiła się przeraźliwie chłodna; a tu dom brazylijski ma szpary na kilka palców szerokości. Czuję, że mi się chwyta katar, co zasnę, to się zaraz obudzę z powodu zimna, bo nawet nie było czem się nakryć.

Rano zziębnięci szukamy koni — a tu koni nie ma. Oddaliły się na 3 km., z biedą tylko udało się je odnaleźć. Ochrzciłem jeszcze jedno dziecko w innym domu u Brazylianina, który mówił trochę po polsku i rusku. I tu już od rana siedziały kobiety wraz z psami około ogniska, robiły cygara dla siebie i mężczyzn. Kobieta brazylijska nie zajmuje się zupełnie gospodarstwem, cały Boży dzień siedzi w popiele, cygara pali i herwę popija.

Napoiwszy konie, wyruszyliśmy w dalszą drogę; miejscami była jaka taka ścieżka, miejscami same tylko doły, ale za to była prześliczna pogoda i nie za gorąco; pełno papug i tukanów przelatywało około i nad nami i całe roje dużych, niebieskich motyli. Co kilka kilometrów przejeżdżaliśmy przez małe potoki, a jechaliśmy powoli, bo dziś mieliśmy zrobić tylko 30 km.

Stajemy po południu w domu poczciwego starca Valencio, znanego na całą okolicę. Staruszek miły nad wyraz, gościnny, przyjmuje każdego przechodnia. Chciał nas uraczyć mięsem, ale piątek, i choć to uroczystość Zwiastowania Najśw. Panny, to nigdy postu nie złamie. Ma bardzo dużo ziemi i wysoką górą Serra de esperança, tj. górę nadziei. Nakarmił i napoił i nas i konie nasze, i wygodny, jak na dom brazylijski, przygotował nocleg. I tu przyprowadzono kilka już dorosłych i kudłatych dzieciaków do chrztu. Zdarzy się nieraz, że same dzieci dorosłe już wybierają się w drogę odszukać księdza, by je ochrzcił. Razu pewnego ochrzcił tu ksiądz 12-letniego chłopca. Kiedy mu włożono do ust soli, zgniewał się, splunął, zawołał: „que diabo!“ i do lasu umknął; z biedą tylko zdołało się go napowrót sprowadzić.

Nazajutrz wczas rano wyjechać musieliśmy, by choć rychło zajechać do miasta Porto Victoria da Uniao i tam sobie znaleźć jaki nocleg. Brazylianie rano nie jedzą, piją tylko małą filiżankę kawy. O takiej to filiżance kawy musieliśmy jechać cały prawie jeszcze dzień.

Po drodze mieliśmy nową kolonię Macaco, założoną przez kolonistów z Rio Claro. Jeszcze sobie biedacy domków

nie wybudowali, tylko ze trzciny zrobili sobie schronienia. Słyszeli już dawno, że tędy przejeżdżać będzie polski misyonarz, to też biedacy aż płakali z radości, gdy mnie ujrzeli. Stanąłem na chwilę u Lewandowskich bardzo uczciwych ludzi.

Po południu stanęliśmy nad rzeką Iguassu, nad brzegiem której rozsiadło się malownicze miasto Porto Victoria da Uniao. Rzeka Iguassu jest tu dwa razy szersza niż Wisła pod Krakowem; kilka kilometrów dalej są jej sławne wodospady.

Konie wróciły, ja sam na łódce się przeprawiłem na drugi brzeg rzeki. Widok uroczy odsłonił się przedemną. Miasto to ma położenie cudowne jak Rio de Janeiro. Wokoło cały wieniec gór i same bory, na dole szumi rzeka, po której płyną małe parowce; miasto położone na wzniesieniu ma schludne białe domki, bo tu wielu Niemców mieszka. Piękna willa w ogrodzie pomarańczowym to własność bogatego Brazylianina Amazonas, którego posiadłość ciągnie się na cztery mile w promieniu. I tu wiedzieli Polacy, których jest do 30 rodzin, że przyjadę, ale nikt nie wyszedł na spotkanie. Już oni odwykli od Kościoła i bez kapłana obchodzić się umieją, stali się już obojętni jak Brazylianie.

Dwóch Polaków mieszka w samem mieście, są bogaci, ale obydwaj masoni, nie chciałem więc u nich zamieszkać. Wybrałem się tedy za miasto szukać noclegu i mieszkania. Siły mnie opuściły, już dalej iść nie mogłem. Usiadłem więc na trawniku, a w tem się zjawiła kobieta i chętnie zaprowadziła mnie do sąsiada, Polaka, u którego zamieszkałem na kilka dni.

Stąd codziennie 3 km. chodziłem do kościoła i czekałem na ludzi Przychodziło niewielu, bo odwykli już od Kościoła. Bardzo mi tu było smutno. Był to Wielki tydzień, a wielu wcale nie było u spowiedzi św., młodzi żyją połączeni tylko ślubem cywilnym.

Równocześnie ze mną nadjechał z Palmas młody O. Franciszkanin na Wielki tydzień dla Niemców. Czekał biedak cały tydzień, a do spowiedzi św. zgłosiły się tylko 3 murzynki.

Na naukę katechizmową przychodziło mu tylko ośm dzieci, o których się w przedostatni dzień dowiedział, że to dzieci protestanckie.

Rano w Wielki Piątek puściłem się dalej, by Wielkanoc spędzić w Jangadzie. To punkt, gdzie z lewej strony rzeki Iguassu Polacy najdalej mieszkają. Jangada jest 40 km. odległa od Porto Victoria da Uniao. Przyjechałem szczęśliwie, ale zupełnie wyczerpany. Zamieszkałem w domu brazylijskim, bo kolonia polska jest kilka kilometrów odległą od kościółka. Kościół, to licha chałupka, kilka w nim obrazów, między innymi obraz św. Wincentego a Paulo. Mieszkanie moje podobniejsze do aresztu niż do zamieszkałego domu i bez okien. Spać niepodobna, bo dwoje chorych dzieci płakało i jęczało przez całą noc. Tak spędziłem święta Wielkanocne! Zdala od Thomaz-Coelho, bo prawie 100 mil oddalony, sam jeden wśród obcych. Jeden z Polaków przyniósł mi paschę, kawał kiełbasy, od której zachorowałem.

Jangada bardzo brudna, jest tu zarazem kolonia wojskowa, żołnierze po większej części czarni pobrali sobie polskie i ruskie dziewczęta — aż wstyd o tem pisać. Z jednej i z drugiej strony miałem takich sąsiadów. Karcił to surowo przed trzema laty jeden z OO. Bazylianów i ledwie uszedł śmierci.

Więcej tu Rusinów niż Polaków — żyją z sobą w niezgodzie, jak na rodzinnej ziemi. Tutejsi Polacy są z powiatu Czortkowskiego, znają dobrze naszych księży z Jezierzan. Jeden z nich narzekał bardzo, że tak często zmieniają się u nas księża — któregośmy pokochali a już go nam wzięli.

Biedni, wycierpieli też wiele, otrzymali grunta skaliste, do miasta daleko; podobno kilku z głodu pomarło.

U stóp tej osady płynie szeroko rozlana rzeka tejże nazwy. I tu Brazylianki palą fajki. W Wielki Piątek wszyscy świętują; pasterze pędzący całe stada bydła odpoczywają, ale w pierwsze święto już się do roboty zabierają, kobiety do prania, rzemieślnicy do rzemiosła.

Z Jangady miałem się udać do Ponta Grossa na misyę. Leży ona w stronie wprost przeciwnej, po prawym brzegu rzeki Iguassu. Powróciłem zatem do Porto Victoria da Uniao i tu kilka dni czekałem na statek, by zajechać do Porto Amazonas. Całe dnie spędzałem nad brzegiem rzeki Iguassu i ryby na wędkę łowiłem, skoro ludzie nie dali się ułowić. Wreszcie nadjechał parowiec „Viscondy de Guarapuava“. Wodą miałem zrobić 60 mil. Ale statek szedł tymczasem powoli, bo z powodu posuchy było mało wody, a w rzece jest wiele mielizn. Jechałem całe cztery dni. Podróż statkiem bardzo niewygodna, zwłaszcza nocą, bo jest tylko jedna kajuta. Nie było innej rady jak tylko spać na workach lub między nimi. Zima się już rozpoczęła, w ciągu dnia ciepło, ale w nocy chłodno, komary tną niemiłosiernie, jazda okropna. W ciągu podróży weszło do kajuty mnóstwo Brazylianów i Niemców, ludzi zupełnie bez wychowania, którzy szydzili sobie ze wszystkiego, a najwięcej z religii św. W niewiarze doszli do tego, że już nie wierzą w Bóstwo Chrystusa, urągają Matce Najśw., naśmiewają się z Krzyża św., z Komunii, nic nie jest u nich świętego. Spowiadać się nie będą nigdy, bo to głupstwo. Zdaje mi się, że na całym świecie nie ma większej bezbożności jak tu; kobiety obok mężczyzn wszystko to nawskróś niewiarą przejęte, a przytem wszystkiem chlubią się, że są katolikami i to pobożnymi. „Jestem bardzo katolicki“ — powiadają raz po raz, a oni w większej części przestali już być uczciwymi ludźmi. Religia i jakieś nabożeństwo to u nich tylko zabawa, przychodzą tylko wtedy, gdy puszczają rakiety i strzelają, a zachowują się w kościele gorzej niż w karczmie. To naród przez Boga już opuszczony, i dziwna rzecz, że każdy, który się z nimi wdaje, takim samym się staje i jeszcze gorszym. Włosi tutejsi i Hiszpanie to wyrzutki same, Niemcy zachowali jeszcze zewnętrzny polor. Gwałty i zbrodnie się mnożą, sprawiedliwości niema żadnej, rząd nie gwarantuje nikomu ani mienia, ani życia. A przyszłość jaka? Powiedział ś. p. eks-cesarz don Pedro, że zamiast wolności w rzeczypospolitej brazylijskiej, będzie

anarchia i nierząd, a to w prowincyi Parana już się stało. Fałszowanie pieniędzy najpowszechniejsze — Parana to stan najgorszy pod względem zarządu i sprawiedliwości i w takim kraju osiedli polscy koloniści. To też szerokie pole dla misyonarza pokrzepiać ich, przestrzegać przed niebezpieczeństwem i bronić od złego, co szeroko się rozlewa wokoło. A oni słuchają, bo wiarę ojców do nowej ziemi przynieśli, cieszą się, gdy misyonarz w ich strony zawita.

Tak się też uradowali, gdym już za drugim razem zajechał do Ponta Grossa na misyę. W trzy dni za mną przyjechał X. Chylaszek — wyspowiadaliśmy około 600. — Był jeszcze wielki dług na kościółku, ale podczas misyi wypłacili wszystko. Na moje ręce w ciągu kilku dni złożyli 1500 koron. Dbali o nasze najmniejsze potrzeby. Przynosili nam wszystkiego w bród, niczego nam nie żałowali — kur, jaj, mleka mieliśmy podostatkiem. Kobiety nam przynosiły z cukierni ciastka i pierniki. Raz wróciwszy z kościoła, zastaliśmy żywe prosię. Żal nam było je zabić, sprzedaliśmy więc za dwie korony.

Z Ponta Grossa wróciliśmy do domu. Już czas był spocząć po długiej tułaczce i ciężkiej pracy, ale spoczynek był bardzo krótki, bo jeszcze w tym samym tygodniu wyjechaliśmy na wielką misyę do Luceny, gdzie jestem obecnie i drugiego konfratra oczekuję.

Parafia to duża, w granicach jej w najbliższym sąsiedztwie mieszka dziki szczep indyjski Botokudów, którzy już wielu Polaków okrutnie pomordowali.

Da Bóg, to drugim razem poszlę Najczcig. X. Wizytatorowi sprawozdanie i z tej misyi.

Misye tu odprawiać, to bardzo ciężko — ale Bóg dopomoże, a dobrzy Konfratrzy modlić się będą o błogosławieństwo dla nas, a Czcig. X. Wizytator w szczególniejszy sposób Bogu naszą maleńką misyę polecać będzie.

X. H. Dylla
n. k. Z. M.

KRONIKA.

Kraków — Kleparz. Zestawiając prace duchowe Konfratrów domu kleparskiego z roku przeszłego, w cyfrach mniej więcej tak się przedstawiają:

W kościele kleparskim wygłoszono kazań przeszło 100, rekolekcyj ludowych było 5 seryj — nauk 80. W ciągu roku Komunii św. rozdano 41.830. Misyj w tym roku było 15, nauk wygłoszono z górą 400, wyspowiadano osób 37.100. Rekolekcyj odprawiono dla kapłanów lub kleryków 4, konferencyj wygłoszono 60, rekolekcyj dla Sióstr, dla różnych stowarzyszeń, szkół było 25, nauk wypowiedziano mniej więcej 250. Odpustowych kazań wypowiedziano w Krakowie i okolicy 17, na dalszych exkursyach 28. Nadto obsługuje się domy Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu, gdzie są konferencye niedzielne i w środy, u św. Stanisława, w zakładzie im. Helclów, w szpitalu św. Łazarza i św. Ludwika.

W zeszłym roku do wakacyj byli nasi księża katechetami w 5 szkołach, a nadto obsługiwał jeden kapłan stale kościół św. Floryana w charakterze wikaryusza.

Stradom. Szczupła nas liczba, i dlatego przy pracy naukowej nie możemy rozwinąć większej działalności na zewnątrz. W naszym kościele podtrzymujemy w miarę sił pracę pomyślnie rozwiniętą w ubiegłych latach i z pociechą w sercu spoglądamy na te liczne zastępy wiernych, którzy wypełniają jego okazałe mury. Komuii św. rozdano w 1904 r. 26.370. Wielką radość sprawiło nam zgłoszenie się do nas na rekolekcye XX. Katechetów, którzy w liczbie 20 zebrani ze wszyst-

kich dyecezyj naszych, odprawili te św. ćwiczenia wspólnie pod duchownem przewodnictwem X. Felicyana Bystrzonowskiego ze Lwowa w czasie od 25 do 29 sierpnia z. r. Prócz nich odprawiło u nas rekolekcye prywatnie 7 kapłanów świeckich, 3 naszych XX. Konfratrów z innych domów. Z okazyi jubileuszu N. Maryi P. dawaliśmy rekolekcye Dzieciom Maryi i domownikom u Sióstr na Kazimierzu i ubogim w przytulisku brata Alberta. Dzień 8 listopada poświęciliśmy uczczeniu z naszej strony przywileju Niepokalanego Poczęcia Najś. Maryi Panny. Rano urządziliśmy uroczyste nabożeństwo w kościele, które zaszczycił celebrą nasz Najczcig. X. Wizytator Kiedrowski. Po południu zebrali się u nas wszyscy Konfratrzy z naszych domów krakowskich na uroczysty wieczorek jubileuszowy, urządzony i z przejęciem się rzewnem wykonany przez naszych kleryków teologów. Jak dwa inne domy krakowskie mamy i my do zaznaczenia w tym czasie dwa wypadki śmierci: ś. p. X. Jana Łęgowskiego i ś. p. X. Antoniego Buczkowskiego. Pamięć obydwóch będzie nam szczególnie drogą, bo ich długie cierpienia były dla nas szkołą, w której nas Pan Bóg przez nich uczył w cierpieniu zdawać się zupełnie na Jego świętą wolę, a w pełni sił rozniecać w sobie ten Boży zapał do pracy apostolskiej. Myśmy się naprawdę bardzo budowali tym dziwnym ich spokojem wśród ogromnych cierpień i rzewnie się nam robiło na sercu, gdyśmy widzieli ten ich święty smutek z tego, że im śmierć broni tak pięknej pracy, którą się ledwie kochać nauczyli. — Od roku zbiera się u nas co niedzielę konferencya panów św. Wincentego à Paulo dzielnicy kazimierskiej. Trzeba podnieść szczególną chęć tych panów zbliżenia się do naszego Zgromadzenia, by łącznie z nami rozwinąć żywszą działalność na polu miłosierdzia chrześciańskiego. Z tego my się cieszymy i będziemy się starali gorliwie popierać tę sprawę. — Z końcem sierpnia mieliśmy szczęście gościć w naszych starych murach Najczcigodniejszego X. Arcybiskupa Webera, który z tylu względów zasługuje na cześć i miłość ze strony naszego Zgromadzenia.

Afryka — Abisynia. Odezwa z poza grobu. Wśród wiadomości bieżących z „Misyi katolickich“ na miesiąc listopad 1904 roku znajdujemy ciekawy list ś. p. X. Karola Gruson z Abisynii, pisany do dobrodziejów misyi tego kraju w Europie. X. Edward Gruson, przełożony misyi w Abisynii i imiennik zmarłego, opatrzył ten list krótkim wstępem, który tu podajemy:

X. Karol Gruson zakończył życie w sposób bardzo tragiczny, kąpiąc się w rzece Alitieny. W papierach jego znalazłem list, na marginesie którego mieściły się słowa: „Jaki tytuł należałoby tu położyć?“ Niestety, tytuł ten już się znalazł, nasunął go nam zaś ów smutny wypadek, który nas pozbawił tak dzielnego misyonarza. Bardzo byłbym wdzięczny, gdybyście zechcieli umieścić tę „zagrobową odezwę“ X. Karola Gruson'a, wzruszy ona bowiem z pewnością wszystkie szlachetne dusze.

Spieszymy więc spełnić rozrzewniającą tę prośbę czcigodnego przełożonego XX. Misyonarzy w Abisynii, przytaczając pośmiertną odezwę nieodżałowanego misyonarza, którego śmierć wydarła tak przedwcześnie z grona współbraci.

Oto list X. Karola Gruson'a:

„Na moją prośbę o jałmużny, otrzymałem w tych dniach odpowiedź pewnej osoby, bezwątpienia szlachetnej i wspaniałomyślnej, o czem świadczy nawet jej ofiara. Odpowiedź jej wszakże zdradza jakąś wątpliwość co do użyteczności datków pieniężnych na korzyść misyi w Abisynii.

Podstawę tej wątpliwości stanowi twierdzenie, że w Abisynii nic chyba nie mamy do roboty, ponieważ nie cieszymy się tam dostateczną wolnością religijną. Takie uprzedzenie, raz przyjęte, podkopałoby zupełnie naszą działalność. Uważam więc za konieczne wykazać, że jest ono mylnem i bezpodstawnem. Mówią niektórzy, iż w Abisynii niema nic do zrobienia. Zdanie to jednak wydaje mi się zbyt śmiałem. Nie mówię, że praca apostolska żadnych tu nie przedstawia trudności, lecz nigdy przecież Kościół Boży z łatwością nie rozkrzewiał się na świecie. Czyż nie jest to

nawet cechą dzieł świętych, że muszą one zawsze znosić prześladowanie? Bądź co bądź misyonarze i w Abisynii, podobnie jak w innych krajach, czynią wiele dobrego, praca zaś ich coraz bardziej pocieszające przynosi wyniki.

Czyż potrzebujemy mówić o mnóstwie dzieci i młodzieńców, kształcących się w szkole misyjnej w Alitienie? Z drugiej zaś strony, czyż pokaźna ilość dziewcząt, które szukają schronienia u Sióstr, ażeby poznać i przyjąć wiarę katolicką, nie jest także bardzo wymowną i przekonywającą? Skoro zaś dzieci przez nas wychowywane, wolą być smaganemi aż do krwi przez swych rodziców, niż wyrzec się prawdziwej wiary, czyż można jeszcze twierdzić, że w Abisynii niema nic do zrobienia?

Gdy wreszcie podczas prześladowań, całe wioski się wyludniają, bo ich mieszkańcy opuszczają dobrowolnie domy, pola i trzody, aby nie zostać zmuszonymi do apostazyi, czyż i pomimo tego można wątpić o przyszłości Abisynii?

Wprawdzie niejednego Abisyńczyka odstrasza i zniechęca groźba prześladowania, wisząca jak miecz Damoklesa nad każdym nowonawróconym, lecz skoro tylko kapłan katolicki zbliży się do dusz i oświeci je w wierze, nie wahają się one poświęcić wszelkich doczesnych korzyści dla osiągnięcia jedynego prawdziwego dobra. Bezwątpienia mamy licznych nieprzyjaciół wśród odstępnego duchowieństwa, lecz czyż przeciw Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi nie występowali również faryzeusze? Zresztą, czy Zbawiciel nie zwyciężył ich swoją dobrocią i cudami? My także możemy zjednać sobie serce, jeżeli zaś nie zdołamy wskrzesić umarłych z grobów, to przynajmniej jesteśmy w stanie pospieszyć z pomocą żyjącym, aby nie umarli z głodu.

Tak, niech nam tylko wspaniałomyślne osoby dopomogą do spełnienia cudów miłosierdzia i miłości bliźniego, abyśmy doprowadziwszy do równowagi ubogi i chwiejny nasz budżet, mogli z tym większym pożytkiem pracować nad duszami spragnionemi prawdy!

Tak, dużo dobrego jest do zrobienia w Abisynii, lecz

jeżeli ma się to zrobić, w takim razie katoliccy nasi bracia powinni wesprzeć biednego misyonarza, to jest za pomocą szlachetnych ofiar pozwolić mu utrzymywać istniejące już zakłady, zwiększać ilość uczniów, przygotowywać dla Kościoła gorliwych apostołów i mężnych obrońców, tudzież okazywać wszystkim czynną miłość bliźniego przez osładzanie materyalnej nędzy. Słowem, bez europejskich naszych braci niewiele zdziałać zdołamy, z nimi zaś dokażemy cudów... Podajcież więc nam dłoń, bracia!"

List X. Edwarda Gruson z Alitieny do Hr. Ledóchowskiej, generalnej kierowniczki Sodalicyi św. Piotra Klawera w Rzymie.

Czcigodna Pani Hrabino, niech łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa będzie zawsze z Tobą!

Mam nadzieję, że z przyjemnością odczyta Pani ten prosty opis pielgrzymki naszych katolików abisyńskich do kościoła św. Michała w Haidze.

Każdy wie zapewne, że po Najświętszej Maryi Pannie żaden z mieszkańców rajskiego przybytku nie jest tak czczonym i wielbionym, jak św. Michał Archanioł.

Po przybyciu do Abisynii, jedną z rzeczy, które najbardziej mnie uderzyły, a o których może kiedyś jeszcze opowiem, była znaczna ilość krajowców, mających św. Michała za swego Patrona. W każdej wiosce znaleść można kilku lub kilkunastu mężczyzn, zwanych *Ghebré-Mikael*, co oznacza dosłownie „sługę Michała", albo *Ode-Mikael*, czyli „syna Michała". Tu i ówdzie zdarza się ich napotkać dwa, albo trzy tuziny. Wróćmy jednak do rzeczy.

W wigilię więc uroczystości tego Księcia Aniołów, liczne gromadki wiernych z Alitieny, Monokseito i innych miejscowości, podążyły ku malowniczemu płaskowzgórzu Haiga. Najgorsze nawet drogi, o jakich mówią europejscy pisarze, nie mogą nawet iść w porównanie z okropnemi tutejszemi ścieżkami, na które nie radzę zapuszczać się nikomu, kto nie ma pewnych nóg i bardzo mocnej głowy.

Dotyczy to jednak tylko nas Europejczyków. Co do

Abisyńczyka, ten nie przypuszcza nawet, że taka droga może dla kogokolwiek stanowić przeszkodę do odbycia podróży. To jego zwykłe otoczenie, jego naturalny żywioł, w którym czuje się tak dobrze, jak ryba w wodzie. Przeciwnie to, co my nazywamy dobrą drogą, nuży go swą jednostajnością.

Po rozmaitych drobnych wypadkach, które zamiast obudzić litość dla biednych ofiar, wywołują tylko wesołe śmiechy, przybywamy do kościoła św. Michała. Wszyscy wierni już się tam zebrali. Oto i nasi współbracia, przyzwyczajeni już nieco do afrykańskiego słońca. Dobry humor, ten wielki przymiot misyonarza, maluje się na ich twarzach. Oto i kapłani lub zakonnicy abisyńscy, a obok nich nasi seminarzyści, zakonnice tutejsze i młodziutkie ich uczenice. — Zbytecznem byłoby zapytywać uszczęśliwionych pielgrzymów, czy bardzo kochają św. Michała. Okażą to oni najwymowniej, niestety, za pomocą śpiewów, które przez całą noc ani na chwilę nie dadzą nam zmrużyć oka.

Jak gdyby jeszcze było za mało naszego orfeonu, czyli kółka muzycznego, nie składającego się bynajmniej z suchotników, wszyscy przybysze z Alitieny pragną wziąć udział w muzyce. Artyści niepowołani zdają się być niesłychanie dumnymi i zadowolonymi z samych siebie. „Wkrótce będziecie mieli szczęście nas usłyszeć!“ — mówiły nam napuszone ich miny. Jakież są narzędzia muzyczne tej improwizowanej orkiestry? Posłuchajcie tylko! Oto przedewszystkiem widzimy około pół tuzina *tsenasel,* czyli pręcików żelaznych, wygiętych w kształcie litery *U* i połączonych ze sobą na końcu drucikiem żelaznym, na którym wisi kilkanaście okrągłych blaszek. Poruszając tem narzędziem, otrzymuje się dźwięk, którego harmonia łatwo da się odgadnąć. Do tych instrumentów należy jeszcze dodać *kebero,* czyli bębny, w które krajowcy uderzają pięściami. Żadna uroczystość nie może się obejść bez *kebero,* prawdziwe zaś te narzędzia katuszy, okropną wywołują wrzawę.

Nie zgadniecie z pewnością, w jak genialny sposób wyrabiane bywają bębny z Alitieny. Są to po prostu dre-

wniane baryłki, w których poprzednio znajdowało się wino mszalne. Po wypróżnieniu ich i wyjęciu dna, oba otwory zostają powleczone kawałami skóry świeżo zabitej krowy. Dostarczywszy więc nam niezbędnego materyału do odprawiania Najśw. Ofiary, beczułki te przyczyniają się jeszcze do uświetnienia religijnego kultu w Abisynii.

Pomimo naszego ubóstwa, dochodzącego chyba do ostatecznych granic, poczciwy O. Van Ravestein potrafił zmienić do niepoznania swój kościółek. Stare baryłki od oliwy, oklejone białym papierem i ozdobione ładnymi obrazkami, służyły za doniczki do kwiatów. Reszta ozdób taką samą odznaczała się prostotą.

Najpiękniejszym momentem tej uroczystości była chwila Komunii generalnej. Mnóstwo wiernych z prawdziwie rozrzewniającą pobożnością przystąpiło tym razem do Stołu Pańskiego. Wszyscy doznaliśmy wtedy głębokiego wzruszenia.

Po skończonej Mszy św. dokoła kościoła odbyła się procesya i donośnem echem zabrzmiały w powietrzu nasze hymny, przerywane pełnymi zapału *ellelta,* czyli radosnymi okrzykami abisyńskich kobiet.

Po pięknej przemowie w języku etyopskim i braterskiej agapie, opuściliśmy Haigę, mówiąc jeden do drugiego: „Jakże pięknym był dzień dzisiejszy i jak święty Michał musi z nas być zadowolonym!“

Chciej przyjąć, Czcigodna Pani Hrabino, wyrazy najgłębszego szacunku od tego, który się kreśli w Panu naszym i Niepokalanej Maryi, jej sługą *X. Edward Gruson*

Przełożony misyi w Alitienie w Abisynii.

Azya. Chiny. — Tsze-Kiang. Seminaryum dla formowania młodych Europejczyków na świeckich Kapłanów dla Chin.

X. Biskup Reynaud, Misyonarz, pisze do Księdza Dyrektora Misyi katolickich:

Doniosłem już Księdzu o naszem wielkiem Kolegium w Ning-Po. Dzisiaj chcę Cię zapoznać z innym Zakładem, z nowicyatem dla kształcenia powołań na Misyonarzy w Chinach. Jest to środek bardzo potrzebny i dużo obiecujący.

Młodzieńcy Europejscy odbywają najpierw nowicyat, a potem wszystkie nauki, jakie się wykłada we Wielkich Seminaryach dla kleryków, z dodatkiem jeszcze wykładów z zakresu nauk przyrodniczych i języków, a przedewszystkiem języka chińskiego. Nic im nie brakuje pod względem pobożności i studyów. Kształci ich się już na tem polu, na którem potem walczyć im wypadnie. Mają więc sposobność zaznajomić się ze zwyczajami, językiem i z przyrodą krajową. Doświadczenie innych jest dla nich nauką. Wszystko co widzą, co słyszą, przyzwyczaja ich do trudności ich przyszłej pracy kapłańskiej. Słowem, ta formacya na miejscu, wydaje mi się najznakomitszą formą do kształcenia dobrych Misyonarzy. Robi ich się, że się tak wyrażę, na zamówienie i według miary potrzeb kraju. W przeddzień swych święceń nie są to rekruci, którzy się nie mogą zoryentować w swem nowem położeniu, ani nie budzą się ze zdumienia, jak ci co nagle do Chin przybyli z Europy. Nie potrzebują oni ćwiczyć się dopiero, lub czekać na broń, by spieszyć na pole walki: uzbrojeni od stóp do głowy, są gotowi do zapasów apostolskich. Są to niemal weterani.

Jestem bardzo szczęśliwy, że ich mam u siebie. Tworzą oni w moim wikaryacie, jak gdyby rozkoszną oazę, prawdziwe źródło błogosławieństw.

Jakże się muszą cieszyć aniołowie tych biednych pogan, widząc, że te biedne drzewka rosną i że kiedyś wydadzą kwiat i owoc.

To dzieło tak upragnione, tak bogate w nadzieje, pozwalam sobie polecić Twoim modlitwom. To dopiero kołyska. Ale iluż to życzeniami już otoczona, ileż nadziei każe żywić! *Quis, putas, puer iste erit?* *)

Ameryka. Meksyk. — List X. Wizytatora Moral do X. Horcajada ze Zgromadzenia Misyi. Tu w Meksyku mamy, jak gdyby

---

*) Mgr. Reyneaud pisał niedawno do W. księdza Wizytatora naszego, prosząc o kandydatów Polaków do owego Seminaryum. Koszta podróży gotów zwrócić kandydatowi, gdy się stawi na miejscu.

ciągłą Misyę: zajęci bowiem jesteśmy bezustannie spowiedziami, częstemi kazaniami, przygotowaniem dzieci do pierwszej Komunii świętej, kierownictwem Braci Miłosierdzia i Stowarzyszeń Dzieci Maryi, których w Meksyku jest 750. W samem mieście Meksyku jest dwadzieścia jeden Stowarzyszeń Pań Miłosierdzia i dwanaście Stowarzyszeń Dzieci Maryi, licząc w to i te, które są na przedmieściach, lub w podmiejskich osadach. Liczba członków czynnych i honorowych w Stow. Pań Miłosierdzia wynosi od 60 do 70 tysięcy. Dzieci Maryi jest od 30 do 33 tysięcy. Wszystkie te Stowarzyszenia zjednoczone są pod jednym Dyrektorem generalnym, którym jest X. Wizytator.

Dnia 18 grudnia z. r. X. Arcybiskup Meksykański poświęcił obszerny dom, wzniesiony w ostatnich pięciu latach, ze składek i darów familii chrześcijańskich. Dom ten przeznaczony jest na pomieszczenie tych, którzy odbywają ćwiczenia duchowne lub rekolekcye miesięczne; osobliwie zaś dla członków tych licznych Stowarzyszeń i dla Kapłanów, gdy to Arcypasterz uzna za stosowne. W tym domu jest 73 pokoi dla rekolektantów, wielka kaplica, pomieszkanie dla Dyrektora rekolekcyi i jego pomocnika, a wreszcie osobne miejsce dla słuchania spowiedzi świętej bez przeszkody.

Dnia 16 grudnia zaczęły się ćwiczenia duchowne.

Dom ten jest wzniesiony pod wezwaniem Najśw. Rodziny. Święty Józef, był moim prokuratorem przy zbieraniu jałmużny na rzeczony dom; mam nadzieję, że to samo mi wyświadczy przy wnoszeniu drugiego domu, obok poprzedniego, dla pomieszczenia sześciuset do tysiąca dzieci; będą tam warstaty dla młodzieży, w liczbie 40 do 100, i ochrona dla sierót. Jeżeli nasi Konfratrzy wnet przybędą, można będzie zacząć; pierwsze piętro już jest gotowe na szkoły niedzielne i na pomieszczenie kilku robotników.

ZMARLI:

Br. Jakób Kirley, 4 sierpnia 1904, w Peryville (w Stanach Zjedn.), żył lat 62, w Zgromadzeniu 15.

X. Piotr Picard, 27 września 1904 w Guala (w Abisynii), żył lat 68, w Zgromadzeniu 45.

Br. Franciszek Ferrari, 29 września w Rzymie, na Montecitorio, żył lat 75, w Zgromadzeniu 56.

Kleryk Ignacy Penalver, 2 października 1904, w Sonseca w Hiszpanii, żył lat 19, w Zgromadzeniu 4.

X. Emanuel Brom, 5 października 1904, w Peszcie na Węgrzech, żył lat 30, w Zgromadzeniu 11.

X. Salvator Stella, 7 października, w Paryżu, w Domu macierz., żył lat 80, w Zgromadzeniu 58.

Br. Józef Sastre, 9 października 1904, w Maceda-Milagros (w Hiszpanii) żył lat 73, w Zgromadzeniu 37.

X. Franciszek Grzegdala, 23 października 1904, we Lwowie, żył lat 59, w Zgromadzeniu 37.

Kleryk Piotr Perez, 27 października 1904, w Madrycie, żył lat 22, w Zgromadzeniu 5.

X. Bernad de Dominicis, 6 listopada 1904, w Portici we Włoszech, żył lat 61, w Zgromadzeniu 45.

X. Jan Massol, w listopadzie 1904, w Kozrowie w Persyi, żył lat 54 w Zgromadzeniu 32.

X. Jan Crosio, 17 listopada 1904, w Turynie, żył łat 62, w Zgromadzeniu 20.

X. Michał Czeng, w listopadzie 1904, w Chinach, żył lat 33, w Zgromadzeniu 11.

X. Józef Soriano, 19 listopada, w Tehuantepek w Meksyku, żył lat 49, w Zgromadzeniu 29.

Kleryk Gabryel Audran, 24 listopada 1904, w Dax, żył lat 25, w Zgromadzeniu 7.

X. Antoni Verrina, 25 listopada 1904, w Cape Girardeau w Stanach Zjednoczonych, żył lat 85, w Zgromadzeniu 64.

X. Gaston Rouquié, 2 grudnia 1904, w Berceau de St. Vincent, żył lat 31, w Zgromadzeniu 8.

X. Alfred Ottoni, w grudniu 1904, w Brazylii, żył lat 38, w Zgromadzeniu 17.

X. Eugeniusz Thibaut, 4 grudnia 1904, w Paryżu, w Domu macierz., żył lat 67, w Zgromadzeniu 35.

X. Flawian Demiautte, 9 grudnia 1904, we Vitré (we Francyi), żył lat 70, w Zgromadzeniu 48.

Br. Jan Bungartz, 18 grudnia, w Theux w Belgii, żył lat 51, w Zgromadzeniu 16.

X. Ludwik Boscat, w grudniu 1904, w Szangaju w Chinach, żył lat 56, w Zgromadzeniu 38.

X. Antoni Buczkowski, 30 grudnia 1904, w Krakowie, żył lat 29, w Zgromadzeniu 13.

Kleryk Andrzej Van Gyzel, 30 grudnia 1904, w Hollandyi, żył lat 26, w Zgromadzeniu 7.

†

S. Karolina Juhel

Wizytatorka SS. Miłosierdzia prowincyi krakowskiej, przeżywszy lat 79, w powołaniu 59, zmarła 8 stycznia 1905 r.

R. I. P.

Dobre książki do nabycia u XX. Misyonarzy.

1) X. K. Gawroński: **Jasny i gruntowny wykład nauki Kościoła św.**, opr. 2·50 Kor. (Mk.).
2) Tegoż: **Historya święta**, 2 tomy razem oprawne 2·80 Kor. (Mk.).
3) X. Ludwik z Grenady: **Przewodnik grzeszników**, opr. 3·20 Kor. (Mk.).
4) X. Mioduszewski: **Śpiewnik kościelny** ze wszystkimi dod. 8 K. (Mk.).
5) Tegoż: **Kantyczka** 1·10 Kor. (Mk.).
6) **Pastorałki i kolędy** z nutami, opr. 2 Kor. (Mk.).
7) **Wiadomość o 3 Szkaplerzach** i krótkie nabożeństwo 20 hal. (fen.).
8) **Nowenna za dusze w Czyścu** 30 hal. (fen.).
9) **Officium za zmarłych** 20 hal. (fen.).
10) **Opis koronki za zmarłych** 10 hal. (fen.).
11) **O naśladowaniu J. Chrystusa**, br. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 Kor. (Mk.)
12) **O naśladowaniu Najśw. P. M.**, opr. 60 hal. (fen.).
13) **Nowenna do św. Wincentego à Paulo** 30 hal. (fen).
14) **Maksymy św. Wincentego na każdy dzień roku** 30 hal. (fen.).
15) **Nowenna do św. Tekli** 30 h. (fen.).
16) **Adoracye N. Sakr.** opr. 1 Kor. (Mk.).
17) **Nowenny do Najśw. Panny M.**, opr. 1 Kor. (Mk.).
18) S. Kat. Emmerich: **Bolesna Męka Zbawiciela naszego** 1 Kor. (Mk.) opr. 1·50 K. (Mk.).
19) Tejże: **Życie Najśw. Panny**, opr. 1 Kor. (Mk.).
20) **O Dzieciątku Jezus w Pradze** 20 hal. (fen.).
21) **O jedności Kościoła** 2 Kor. (Mk.).
22) **Pacierz codzienny** 10 h. (fen.).
23) **Zegarek Męki Pańskiej** 10 hal. (fen.).
24) **Ofiarowanie Męki P. za zmarłych** 10 hal. (fen.).
25) **Śpiewniczek** mniejszy 60 hal. (fen.).
26) „ większy 1 Kor. (Mk.).

27) X. Dr. Collet: **Rozmyślania rekolekcyjne**, opr. 1·40 Kor. (fen.).
28) **Pamiątka rekolekcyi** większa, opr. 30 hal. (fen.).
29) **Pamiątka rekolekcyi** mniejsza, 10 hal. (fen.).
30) **Dusza przy żłóbku Chrystusa**, br. 30 hal. (fen.), opr. 40 hal. (fen.).
31) **Skarb ukryty**, opr. 80 hal. (fen.).
32) **Manualik Dzieci Maryi** po 1·60, 2 i 3 Korony (Mk.).
33) Św. Franciszek Sal.: **Droga do życia pob.**, brosz. 1 Kor. (Mk.), opr. 1·50 K. (Mk.).
34) **Błog. Franciszek Reg. Klet** 1 Kor. (Mk.).
35) **Obrazki** z życiorysem tegoż, 100 3 Kor. (Mk.).
36) **Żywot św. Jana Kantego**, opr. 1 Kor. (Mk.).
37) Miesiące: **Styczeń**, 38) **Marzec**, 39) **Czerwiec**, 40) **Październik**, opr. po 1 K. (Mk.) 41) **Maj** 80 h. (fen.).
42) **Nabożeństwo do Niep. Serca Maryi**, br. 30, opr. 40 hal. (fen.).
43) **Książeczka misyjna** 1 Kor. (Mk.).
44) **Książki do nab. z odpustami** po 1·60, 2 i 3 K (Mk.).
45) **O medalu św. Benedykta** 10 h. (fen.).
46) **Listki kółek żywego różańca** po 20 hal. (fen.).
47) **Cantionale Ecclesiasticum**, opr. 5 Kor.
48) **Rituale Sacramentorum** 7 Kor.
49) **Konferencye** X. F. Gawrońskiego, 2·50 K.
50) **Nieszpory** łać. i polskie 100 szt. 7 K. (Mk.).
51) **Obrazy N. Oblicza P. J.** na płótnie większe i mniejsze, **Dzwonki Loretańskie** i **Okowy św. Piotra**.
52) **Nowa pieśń o N. P. Lourdeńskiej**, z melodyą 10 hal. (fen.).

W Krakowie. — Czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.